

LESZEK SOKOŁOWSKI

WYJĘCI

SŁOD



PRAWA

LESZEK SOKOŁOWSKI

WYJĘCI SPOD PRAWA

Międzyrzec Podlaski
2007

Copyright © 2007 by Leszek Sokołowski

Projekt okładki:
Roman Łaziuk

Ilustracje:
Ania Męczyńska

Wydawca:
Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne
21-560 Międzyrzec Podlaski
ul. Warszawska 31a

ISBN 83-9138971-5



Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



5 21984 4000007

125 577

821.162.1-3

Druk:
„INTERGRAF”
Międzyrzec Podlaski

Przedmowa

Głos w sprawie Maślaków

Gdzie leżą Maślaki?

Pewnie na Podlasiu, tam mieszka przecież autor, Leszek Sokołowski, baczny obserwator i sumienny dokumentalista życia obyczajowego Podlasiaków, pisarz – co rzadkie wśród ludzi pióra – obdarzony poczuciem humoru i życzliwością dla bliźnich.

We wsi Maślaki żyją ludzie niby zwykli, a przecież niezwykli. Niby prości, a jednak o skomplikowanych charakterach.

Sołtys, kościelny, listonosz, sklepowy, sierżant Sosenko, gajowy Nowejko, Antek Pajda, młody Kalina, stary Marczyk, sołtysowa, stara Ludwikowa. Ot, cała społeczność.

Czy uprawiają ziemię?

Z lektury nie wynika, by trudnili się rolnictwem. Autor chętniej prawi o ich pasjach, emocjach, rozrywkach niż o pracy. W Maślakach sprawni są w pędzeniu bimbru, nie odmawiają sobie piwka, znają się na ludziach i na polityce. Są dumni ze swej wsi i żywota jaki wiodą nie zamieniliby na żaden inny, nikt tu nie zaśpiewałby piosenki „Gdybym był bogaczem”. Nie czują się biedakami, choć cała wieś potrafi przeżyć okrągłutki miesiąc za sumę, którą niebogaty Polak wydaje na niedzielny bankiet.

Opisywanie wsi nie jest rzeczą nową.

W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych XX stulecia w polskiej literaturze triumfował nurt zwany potocznie „chłopskim” lub „wiejskim”. Popularnością cieszyły się wówczas książki: Tadeusza Nowaka, Mariana Pilota, Zygmunta Wójcika, Stefana Kawalca, Wiesława Myślińskiego, Jana Drzeżdżona, Edwarda Redlińskiego. Pisarze ci – mówiąc w największym skrócie – afirmowali

bogactwo odchodzącego obyczaju, piętnowali negatywne następstwa awansu ze wsi do miasta, pielęgnowali mit utraczonej ojczyzny prywatnej, czy jak pisali inni – choćby Henryk Bereza – „rodzinnej ojczyzny”. Henryk Bereza, wybitny krytyk, w dziele „Bieg rzeczy” pisał o przedstawicielach tego nurtu: „Fizycznie większość z nich odeszła od swojej „rodzinnej ojczyzny”, duchowo prawie wszyscy istnieją tylko w niej, w jej skończoności odnajdując wszelakie nieskończoności ludzkich światów, nieskończoność ziemskiego nieba i piekła – jak Nowak, nieskończoność sprzecznych namiętności w człowieku – jak Myśliwski, nieskończoność historiozoficznej i ontologicznej baśni poznawczej – jak Drzeżdżon, w niej upatrując najpewniejszy duchowy ład, ład uchwytności, gdy wszystko w człowieku, jak u Pilota, staje się nieuchwytnie, gdy wszystko jak u Redlińskiego, jest zalewane przez morze śmieszności i absurdałności, stały ład początku odysei, która u Trziszki nigdy się nie skończy”.

Leszek Sokołowski sięga po tematy, które intrygowały Pilota, Trziszkę, Myśliwskiego, po mistrzowsku opisuje morze śmieszności i absurdu polskiej prowincji, które dostrzegał i pochwalał Henryk Bereza w prozie Redlińskiego. Preferuje jednak formy krótkie, unika rozbudowanych partii narracyjnych, ceni sobie dialog, szybką wymianę słów, docinków, zdań. W tych krótkich, groteskowych formach prozatorskich, pełnych ciepłego humoru, błyskotliwych puent zdecydowanie bliżej Sokołowskiemu do Redlińskiego niż Myśliwskiego, Kawalca czy Nowaka.

Zmieniła się wieś, zmieniły się czasy, także literatura o wsi, człowiek się nie zmienił.

Po wstąpieniu Polski do Unii rolnicy otrzymują dopłaty do hektara ziemi, 150 – 200 złotych rocznie. Jeśli dopełni się formalności. W Maślakach nikt nawet nie sięgnął po formularze. W sąsiedniej wsi – w Mariaszkach – nie szczędzono czasu ni wysiłku na zmagania z papierami, unijne pieniądze spłynęły na rolnicze konta. W Maślakach zawrzało z oburze-

nia. Jak mogli dostać pieniądze za darmo? To najlepsze – moim zdaniem – opowiadanie w tomu, realistyczne mimo groteskowej oprawy czy wymowy.

Maślaczanie, bo tak chyba należy nazwać mieszkańców tejże podlaskiej miejscowości, nie mówią językiem wsi, nie wtracają wyrazów gwarowych, mówią językiem telewizji, jednak nie landrynkowym i papierowym jak postaci popularnego serialu „Klan”. Są przecież bardziej krwiści, targani różnymi namiętnościami, jeśli można ich porównać z jakimiś postaciami seriali to niewątpliwie z „Kiepskimi”.

W opowiadaniach pojawiają się tylko dwaj ludzie spoza „maślakowej” społeczności.

Szwagier, który przyjechał ze Śląska w odwiedziny do sołtysów i sędziego Roman Pietruszek. Ich pojawienie nie jest przypadkowe. Autor stawia im zadanie osądzenia „maślackich” charakterów. Biegły psychiatra opiniował: „aspołeczne zachowanie, wstręt do ogólnie przyjętych norm i wzorców, patologia w rozmiarze XXXL”. Opinia nie mogła zabołec, bo cóż dla Maślaków patologia czy aspołeczne zachowanie? Bardziej druzgocący był osąd gościa ze Śląska. Ten dostrzegł brud, lenistwo, niegospodarność. Sołtys umknął przed dociekliwym gościem do „siostry”, do Krakowa. Na pewien czas, rzecz jasna.

Oskarżenia mają swoją wagę, lecz autor nie potępia swych bohaterów. Nie stawia ich pod ścianą, czy pod pręgierzem, nie batoży i nie moralizuje. Nie poucza też czytelnika, nie mówi: patrzcie, jesteście do nich podobni. Można rzec, że lubi swych bohaterów. No cóż, nie można nie czuć do nich sympatii. Są spostrzegawczy, ironiczni, porywczy, uszczypliwi, drażliwi i na swój sposób bezradni, zagubieni. Kiedy w samotności – u siebie w domu – wygrażają przed telewizorem politykom, prominentom, biznesmenom, dziennikarzom w swej bezsilności i rozpacz przypominają wielu nas. Są mali, bezradni, opuszczeni, mogą tylko zacisnąć pięści i kolejny raz zakląć.

Dużo w tomie Sokołowskiego śmiechu, ale zdarza się też – a to w literaturze istotne – śmiech przez łzy.

Ładna książka. Dobra i ciekawa. Ważna i potrzebna. Smutna i zabawna. Cenny dokument naszych czasów.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

DOBRY POMYSŁ

Smutno było we wsi Maślaki, oj bardzo smutno. Mieszkańców ogarnęła depresja, a sołtys już trzecią dobę gnił w łóżku z żoną. Wszystko przez sąsiednią wieś Mariaszki, o której telewizja nakręciła bezwstydnie pozytywny program i pokazała zaraz po „Złotopolskich”. Czwartego dnia sołtys prze-mógł się, wstał i zwołał chłopów pod sklep.

– Ten program to taki wczesny Gierek – bagatelizował sprawę były kościelny, który pamiętał późnego Stalina i całego Gomułkę.

– Ale mają kino i kawiarnię – mruknął młody Kalina.

– Postój taksówek i basen – dodał ktoś z boku.

– Wszyscy złożyli wnioski o dopłaty i jeszcze wyłudzili dolary na most – zauważył emerytowany przedwcześnie pa-stuch wioskowy (jedna krowa we wsi).

– Euro dostali! – poprawił go młody Kalina – Na most i drogę asfaltowaną. Żebraki!

– A u nasz tylko dwóch napisało wnioski o dopłatę i jeszcze za to łomot dostali na zabawie – uśmiechnął się na samo wspomnienie zadymy były kościelny.

– Nienawidzę tych Mariaszek! – warknął sołtys – Widzieliście jakie teraz dumne chodzą?

– Może by tak ich najechać? – zawołał chwacko były kościelny – W 36 roku po żniwach w 20 furmanek ich najechaliśmy i kto był w spodniach cięgi takie brał, że aż miło.

– A baby, co robiliście z babami? – zaciekawiał się młody Kalina.

Były kościelny podkręcił wasa.

– W niewolę szły, co młodsze.

– Najeżdżamy! – krzyknęli chłopci.

– Stop, stop! – zawołał sołtys – Trzeba, żeby i o naszej wsi program nakręcili. Co można u nas pokazać?

Zapadła cisza, na którą literaci mają tylko dwa określenia: grobowa lub morska.

Chłopi w milczeniu pili wino aż wyjrzała sklepowa zaniepokojona nagłą ciszą. Popatrzyła ze zrozumieniem na ich zafrasowane gęby i wypaliła:

– Załóżcie w Maślakach kołchoz!

Zza chmur wyjrzało słońce, zaryczała z aprobatą ostatnia krowa.

– Załóżcie kołchoz, a telewizja przyjedzie w try miga i to nawet niejedna – powtórzyła sklepowa.

Film z programem o polskiej wsi, w której powstał kołchoz, trafił na biurko głównego komisarza w Brukseli. Komisarz w pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś dokument z 30. roku, z okresu wielkiego głodu w Rosji. Dopiero gdy zobaczył zafajdany przez kury wrak fiata 126p, w którym bały się brudne dzieciaki, bliżej zainteresował się tematem.

Następstwem tych wydarzeń wieś Maślaki dostały specjalną dotację w wysokości rocznego budżetu średniego państwa.

Tylko były kościelny z młodym Kaliną kręcili nosami, knując coś na boku. Czekali aż skończą się żniwa, żeby znów najechać Mariaszki jak w 36. roku.

Otrzymać obietnicę o dotacji to jedno a zobaczyć pieniądze to drugie. Przekonali się o tym obywatele Maślaków, gdy jakimś dziwnym „zrządzeniem losu” unijne euro ominęły ich szerokim łukiem i wylądowały za siódmą górą, rzeką.

Złośliwi twierdzili, że to вина byłego kościelnego, który napisał do unijnego komisarza, że gwizdże na kasę od gejów i lesbijek. Inni sugerowali, że dotację przejął sołtys i buduje w lesie willę z basenem, ale jak wziął w sklepie piwo na krechę i to dla wszystkich, i ta hipoteza upadła.

W każdym bądź razie pieniądze z Brukseli wyparowały w kosmos.

JĘZYKI OBCE

O tym, że nie oplaca się drinkować

Sołtys cisnął telewizyjnym pilotem o ścianę i sięgnął po butelkę.

– Jadzia, od dziś nie płacimy abonamentu! – zakomunikował żonie – Piąta reklama w połowie filmu!

Jadzia wyskoczyła z kuchni z dymiącą patelnią w ręku.

– To ty stary durniu do tej pory płaciłeś?

Sołtys łyknął prosto z butelki.

– Co ja, głupi?

– To czego się wydzierasz? – uspokoiła się sołtysowa – I nie pij przed lunchem.

Sołtys mało się nie udławił.

– Przed kim?

– Przed kolacją, to po amerykańsku – odparła z wyższością – języki obce są bardzo ważne.

Sołtysowi coś się kołatało po łbie i w końcu wykołatało.

– Polacy nie gąsiory – wypalił.

Sołtysowa ruszyła, by wyrwać mu butelkę przekonana, że stary już się uchlał, gdy w drzwiach stanął młody Kalina.

– Sorry, nie przeszkadzam? – zawołał od progu uchylając rąbek kufajki, spod której błysnęła szyjka butelki.

Sołtys spojrzał na niego ponuro.

– Kaman Jasiu – zachęciła gościa sołtysowa – ale staremu tylko jednego drinka, bo już bredzi.

– Okey, pani Jadziu – grzecznie odparł młody Kalina – a co to gospodarz przed lunchem drinkował?

Sołtys gorączkowo myślał, gdzie położył siekiere?

Jasiek postawił brązową butelkę na stole i wyjął z kieszeni krakersy.

– Co to, politura? – złośliwie zapytał sołtys.

Sołtysowa wzięła się pod boki i westchnęła.

– Whisky drink, ciemniaku!

– A jakże, whisky drink – zapiał młody Kalina jakby oświadczyć to pędził – z naszego marketu!

– No to co pani Jadziu, łubudu?

Na dźwięk tego swojsko brzmiącego słowa, sołtys przypomniał sobie gdzie zostawił siekiere.

To co się później stało w domu sołtysa pod marketem, tfu, pod sklepem określono jako rozpierduchę dziesięciolecia. Młody Kalina salwował się ucieczką przez okno, a szanowna małżonka sołtysa zamknęła się w spiżarni, no i dobrze, bo by umarła z głodu. Trzy dni tam siedziała zanim małżonek opamiętał złość.

Profesor Miodek byłby dumny z sołtysa, że ten tak zdecydowanie stanął w obronie czystości polskiego języka. Bądź co bądź urzędnik państwowy.

Innego zdania był młody Kalina, który całą noc przesiedział w lesie. Chodził później po wsi i opowiadał, że sołtys całą awanturę celowo ukartował, żeby samemu wypić jego whisky i zeżreć krakersy.

– Za samą zakąską należały ci się baty – podsumował całe zdarzenie były kościelny – co to za moda, żeby ciastkiem wódkę zakąsać.

– To była whisky – zaprotestował młody Kalina.

– Nie ma takiej wódki! – stanowczo stwierdził były kościelny ucinając dyskusję.



– A ja tam nie wierzę, że ludzie byli na księżycu – zagał pod sklepem młody Kalina.

Sołtys Sroka, były kościelny i nawet Antek Pajda wybuchli śmiechem.

– Przecież był o tym film! – zawołał Antek.

– I to nie jeden! – zawtórował mu Sroka.

Młody Kalina wstał z ławeczki i wyciągnął rękę w stronę wschodzącego księżyca.

– Człowiek nigdy tam nie doleci – odparł spokojnie – za chudy jest w uszach, rozmawiałem wczoraj z listonoszem i powiedział mi, że cała ta podróż w kosmos to lipa!

Listonosz miał w Maślakach opinię człowieka światowego.

– Nikt nie wylądował na księżycu – kontynuował Kalina ze wstrętnym uśmiechem na twarzy – bo jest przeźroczysty.

– To może być prawda – przyznał Antek gapiąc się w niebo.

– Wierzę tylko w czarna dziurę! – mądrzył się dalej Kalina.

– A ufa też nie ma? – zapytał podstępnie sołtys.

Wszyscy znali przygodę młodego Kaliny kiedy to wracając z zabawy z Mariaszek przez dwa dni błądził w lesie, a gdy znalazł go gajowy Nowejko, to gadał do niego po rusku. Dopiero jak mu gajowy z obawy o własne życie wystrzelił z dubeltówki przy uchu, to ludzką mowę odzyskał, ale dopiero po tygodniu.

– To było porwanie – zaprzeczył się Kalina – albo obcy albo KGB.

– Albo biała dama – zakpił były kościelny.

– Z gołą dupą! – dokończył sołtys.

– W kosmosie nie ma nic do jedzenia – wrócił do tematu Antek.

– Właśnie! – ucieszył się młody Kalina, bo dyskusja schodziła na boczne tory – I ziemia nie jest do końca taka okrągła jak się nam wydaje, tak mówił wczoraj pod sklepem listonosz!

Wspomniany autorytet w sprawach kosmosu akurat przejeżdżał rowerem i słysząc ostatnie zdanie zawołał:

– Nie jest, a jakże, jak się wychła tyle co wczoraj, to może się wydać, że kosmos zwałił się człowiekowi na łeb i wszystko jest kwadratowe.

Listonosz wjechał rowerem między chłopów.

– Wczoraj tu piłem, tak? – zapytał świdrując wzrokiem towarzystwo.

– No, tak – bąknął Kalina i dodał – ze mną i gajowym.

– Gajowego nie pamiętam – przyznał szczerze listonosz.

– A co się stało? – zaciekał się sołtys.

– Czapkę urzędową mnie wcięło!

Były kościelny zadarł w tym momencie głowę do góry, by wykończyć wino i aż bańki poszły mu nosem z wrażenia, a że nie mógł z siebie wydobyć głosu, wskazał ręką linię wysokiego napięcia, na której dyndała czapka listonosza.

– Ja wiem, kto to zrobił – odezwał się Antek Pajda i nie pytany zeznawał dalej – to był sklepowy.

Jak rano wrócił z polowania, to słyszałem jak kłócił się ze sklepową, a później wybiegł z domu z czapką i rzucił ją na linię.

– Z polowania? – zdziwił się listonosz – To on poluje?

– A jakże i ma dwururkę!

Listonosz szybko dosiadł roweru i tyle było go widać. Przez następne dwa tygodnie wieś Maślaki nie dostawała poczty i gazet. Najbardziej narzekał były kościelny, który prenumerował „Małego Majsterkowicza” i nie mógł dokończyć dwojaków na piwo.

Natomiast młody Kalina na przykładzie listonosza tłumaczył Antkowi działanie czarnych dziur w kosmosie.

CZARNE TO NIE BIAŁE

O tym jak przy wypalaniu trawy można upiec dwie pieczenie

Kiedy dyrektor gminnego ośrodka zdrowia przyjął na praktyki murzyna, całe Maślaki rozchorowały się z ciekawości, oprócz Tomaszka.

Nawet zdrowe jak rydze dzieciaki ustawiły się w kolejce do czarnoskórego lekarza z nadzieją, że pokaże im koszykarские sztuczki rodem z NBA, oprócz Tomaszka.

Stare baby na wszelki wypadek wzięły ze sobą różańce w myśl odkrywczego porzekadła, że „czarne nie może być białe”, a zapobiegliwa Ludwikowa dodatkowo ukryła pod spódnicą kropidło.

Tomaszek w tym czasie spacerował z siekierką po lesie szukając materiału na porządną pałę.

Po pierwszych wizytach w ośrodku zdrowia społeczeństwo było mocno rozczarowane.

– To normalny lekarz – z pogardą stwierdził młody Kalina.

– Nawet nie wie, kto to jest O’Neil – zawtórował mu zamaskowany malec.

– To na pewno antychryst – narzekała Ludwikowa, która wyszła od lekarza z guzem na czole – boi się święconej wody.

Społeczeństwo jak niepyszne rozeszło się do chałup. W tym czasie Tomaszek ściał młodego buczka.

Sołtys wypalał akurat trawę pod szkołą kiedy podjechał policyjny radiowóz.

– Dobrze, że jesteście! – skłamał przytomnie sołtys – Jakiś łobuz podpalił trawę!

Sierżant Sosenko machnął lekceważąco pałą.

– A od czego są strażacy?

– Od ognia? – zgadywał sołtys.

– Właśnie! Pięknie się buzuje! – z podziwem zauważył Sosenko.

Ogień rzeczywiście rozprzestrzeniał się w zawrotnym tempie zagrażając szkole.

– Co się stało, sierzancie? – zapytał sołtys domysławiając się, że spotkanie nie jest przypadkowe.

W tym czasie z okien szkoły zaczęli wyskakiwać pierwsi uczniowie.

– Murzyn uciekł! – zameldował sierżant.

– Ten nowy doktor? – zdziwił się sołtys.

Sierżant ciężko westchnął i zapadło niezręczne milczenie.

– Nasz Tomaszek? – zapytał w końcu sołtys.

– Wasz siostrzeniec! – potwierdził sierżant.

– Tyle razy mu mówiłem, żeby nie mieszał się do polityki – zezłościł się sołtys.

– Wuj na urzędzie, to i on ma ambicje – mruknął sierżant.

Patrzył na płomienie liżące ściany szkoły i nagle przez jego twarz przebiegł skurcz inteligencji nabytej przez lata służby w dwóch ustrojach.

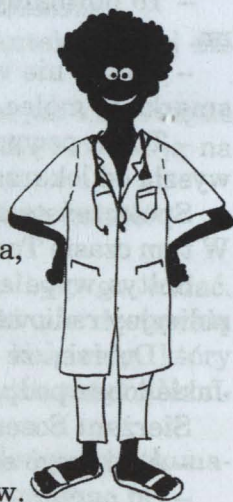
– Uciekł, uciekł – zawołał – podpalił murzyn szkołę to i uciekł, na podpalaczu czapka gore!

Sołtys z podziwem pokiwał głową i spojrzał na zegarek.

– I nie ma tych strażaków! – sprytnie zmienił temat – Trzeba pomyśleć o nowym dowódcy straży.

– Może mój szwagier – przytomnie zareagował sierżant – chodzi po wsi i tylko wodę chla na okrągło jak wyszedł z więzienia, niech zrobi coś dla społeczeństwa.

Tymczasem przez lasy przedzierał się czarnoskóry doktor, a jego tropem podążał Tomaszek. Jednak lekarz z Ghany uszedł pogoni. Uciekanie miał w genach, w końcu był potomkiem plemienia, które przez setki lat było nękanie przez handlarzy niewolników.



RZĄDY CZTERECH

O tym jak można wyrażać niezadowolenie społeczne

– Wypisuję się z takiego pazernego państwa! – zakomunikował sołtys społeczności zebranej pod sklepem w osobach gajowego Nowejki, młodego Kaliny oraz byłego kościelnego i demonstracyjnie podarł mandat drogowy.

– A z parafii też? – zaciekał się były kościelny.

– Zastanowię się – burknął sołtys.

– Za co był ten mandat? – zapytał gajowy Nowejko.

– Za przekroczenie szybkości.

– Jak to? – zdziwił się Nowejko, gdyż jak powszechnie było wiadomo sołtys jeździł tylko rowerem i to kiepsko.

– Podczepiłem się pod tira! – wyznał sołtys.

– A jak można się wypisać z państwa? – zapytał młody Kalina – Bo mam już serdecznie dość tych ciągłych podwyżek na paliwo!

Teraz to już zdziwili się wszyscy, bo Kalina nie miał nawet roweru i tankował jedynie pod sklepem.

– Trzeba spalić dowody osobiste! – zawołał były kościelny, któremu spodobała się wizja nowego państwa z powodu odcięcia mu prądu przez nieludzkiego inspektora tylko za to, że pobierał energię z pominięciem licznika.

– A co potem? – zapytał gajowy Nowejko zdecydowany przyłączyć się do chłopów pod warunkiem, że będzie mógł walić ze swojej fuzji do wszystkiego co się w lesie rusza i o każdej porze roku.

– Spalimy paszporty! – brnął dalej były kościelny.

– A co dalej? – nieustępliwie pytał gajowy.

– Co, co? – zeźlił się były kościelny – Odłączamy wieś Maślaki od państwa, robimy za ostatnią chałupą granicę, wprowadzamy cło, opłaty wizowe i wio!

Wszystkim to się spodobało, szczególnie pomysł z cłem, wizami i wio.

– Trzeba obmyślić godło, wybrać prezydenta, sejm i senat – zapalił się młody Kalina.

– A po cholere mnożyć darmożjadów? – zaoponował sołtys – A po cholere prezydent?

– To co? – były kościelny niepewnie popatrzył na ziomków – Rządzimy we czterech?

Chłopi wymyślili godło: żółtego maślaka na zielonym, ale gorzej było ze spalaniem dowodów osobistych i paszportów, bowiem nikt nie posiadał tych dokumentów. Młody Kalina spalił swoją starą legitymację szkolną, sołtys kartę wędkarską, którą znalazł nad rzeką, a były kościelny wezwanie na kolegium. Dobry początek został zrobiony i napawał optymizmem gdyby nie pojawienie się pod sklepem listonosza, który na wieść o założeniu nowego państwa oświadczył, że nie wypłaci byłemu kościelnemu renty, bo ten zmienił obywatelstwo.

– Jest jedno wyjście – odezwał się młody Kalina – Niech listonosz zakupi za rentę byłego kościelnego wino, będzie wilk syty i owca cała.

Wszyscy poparli wniosek Kaliny. Wilk rzeczywiście był syty, bo nowi obywatele uchlali się wzorowo nic nie tracąc ze swojej starej państwowości.

Owca też była cała, czyli były kościelny, który następnego dnia oznajmił listonoszowi, że czeka na rentę, bo się rozmyślił i nie ma zamiaru zmieniać obywatelstwa.

ŻELAZNY KRZYŻ

O tym, że można było być w trzech partyzantkach, ale nie naraz

Młody Kalina został skreślony z listy użytkowników biblioteki gminnej za notoryczne łamanie regulaminu. Zawiadomienie przesłano mu pocztą i to listem poleconym.

– To jakaś pomyłka! – stwierdził pokazując urzędowe pismo pod sklepem – W życiu nie byłem w bibliotece!

Stary Marczyk machnął lekceważąco ręką.

– To małe piwo! – zawołał – Mnie rok temu przysłali wezwanie na komisję poborową do wojska! Mnie, którego był we dwóch albo trzech partyzantkach!

– A czemu aż w tyłu? – zaniepokoił się Kalina.

Marczyk zamyślił się.

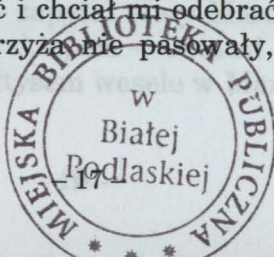
– Ciężkie czasy były! – odezwał się po chwili – Front tak się zmieniał, że zajoba można było dostać! Nie raz tak się pomieszało, że swoich człowiek prał przez omyłkę, ale języka obcego dzięki temu się lizło, po niemiecku i rusku nikt tak we wsi nie gada jak ja.

– Poszedł Marczyk na tą komisję poborową? – zaniepokoił się Antoś Pajda.

– A jakże, poszedłem i medale ze sobą wziąłem: nasze, ruskie i jeden niemiecki, com go za podpalenie stodoły w Mariaszkach dostał jak w przebraniu do Wehrmachtu się zapisałem! Wszyscy pod sklepem zamruczeli z aprobatą, bo nienawidzili Mariaszek z całego serca.

– Och, przydałaby się jeszcze jakaś wojenka – westchnął sołtys.

– Jak zobaczyli te medale – kontynuował Marczyk – to gęby pootwierali jak szpaki, ale jeden gruby jak wieprz major zaczął wrzeszczeć i chciał mi odebrać ruski medal, bo mu do niemieckiego krzyża nie pasowały, ale mu nie oddałem.



Cisza się zrobiła pod sklepem i stary wyczuł, że towarzystwo nie bardzo mu wierzy.

– Nie oddałem! – powtórzył dobitnie.

– To niech pokaże ten medal! – zawołał złośliwie młody Kalina, który poprzedniej nocy przegrał w oko do Marczyka sześć piw.

– Przecież razem je sprzedaliśmy temu letnikowi, co mieszka u kowala! – zdenerwował się bohater wojenny – Już zapomniałeś, za co wczoraj żłopałeś piwo?!

– Ale tam nie było niemieckiego krzyża!

Marczyk powstał z ławeczki i rozchylił poły kufajki. Na jego lewej piersi, na sznurku od snopowiazałki, dyndał najprawdziwszy krzyż z dębowymi liśćmi po bokach.

– Zostawiłem go na czarną godzinę! – zawołał dramatycznie.

– To można było być w trzech partyzantkach? – zapytał z głupia frant Antek, który jak zwykle nie nadażał za tematem po tym jak koń kopnął go w głowę.

– Można było – odparł poważnie sołtys – tylko nie naraz.

– Teraz też można – zauważył z przekąsem młody Kalina.

Wszyscy wiedzieli, że Kalina pije do sołtysa, który od dziecka był politycznie niestały. Nie wiadomo jak by ta dyskusja się skończyła, bo sołtys zaczął nerwowo zerkać na sztachety pobliskiego płotu, których po ostatniej zabawie mocno ubyło, żeby nie przytomność Marczyka. Stary zerwał żelazny krzyż z piersi i wysłał Kalinę do letnika.

– Tylko dobrze sprzedaj! – zawołał za nim.

Młody Kalina szybko opylił krzyż razem ze sznurkiem od snopowiazałki odliczając sobie karciane straty i radosny jak skowronek wrócił pod sklep.

We wsi znów zagościła harmonia i ład społeczny.



MONOPOL

O tym jak gajowy Nowejko dążył do monopolu

Gajowy Nowejko wylegiwał się na skraju lasu i dumał jak dobrać się do konkurencji czyli kłusowników i doszedł do wniosku, że jedynie radykalne metody ukroczą ten proceder. Dla spokojności sumienia o swoich planach postanowił powiadomić sołtysa.

– Nie możesz strzelać do każdego kto wejdzie do lasu! – przestraszył się sołtys.

– Właśnie, że mogę! – upierał się Nowejko z dzikim błyskiem w oczach.

– Ludzie chodzą też na grzyby i jagody – tłumaczył łagodnie sołtys.

– Akurat! – prychnął gajowy – Wszyscy w Maślakach kłusują, nawet stara Ludwikowa! Nie powiecie mi chyba, że w lutym zbierała jagody?

Nowejko mówił prawdę, kłusowali wszyscy, łącznie z przedszkolakami.

– Nie zmienisz tradycji, która od pokoleń zakorzeniła się we wsi – łagodził cierpliwie sołtys.

– Jeszcze zobaczymy! – warknął gajowy i potrząsnął fuzją – Darz bór!

Sołtys akurat kończył obiad, kiedy od strony lasu rozległy się strzały i pierwsi „grzybiarze” wypadali z chaszców gnając na łeb i szyję w stronę wsi.

Zadyszani uciekinierzy ze zdumieniem oglądali się za siebie.

– Jak we wojnę! – zawołał były kościelny.

– Kto na nas poluje? – zapytał stary Marczyk, który również zameldował się pod sklepem – Ostatni raz tak uciekałem jak rozpedziłem z sołtysem wesele w Mariaszkach, tylko

że sołtysa złapali bo za słabo kluczył. Jak on się wtedy wyłgał od śmierci, do dzisiaj nie wiem.

– Nowejko wydał nam wojnę! – zawołał sołtys, który po pierwszych wystrzałach nie czekając na kompot udał się pod sklep – Żre dziczyznę na okrągło i na mózg mu się rzuciło!

– To od tego można zwariować? – przestraszył się młody Kalina.

– Ciebie to nie dotyczy – uspokoił go były kościelny.

W lesie znowu rozległy się strzały i następni „grzybiarze” wypadali z lasu. Pod sklepem można było już urządzić pierwszorzędną manifestację.

– Może podczołgać się i ostrzelać go z moździerza? – zapytał stary Marczyk.

– Nowejko jest sprytny – pokręcił głową były kościelny – może się nie udać.

– A ja nie jestem sprytny? – oburzył się Marczyk – A kto we wojnę ze środka obozu wyniósł partyzantom erkaem i zdjął dzika z rusztu?

– A później srałeś w galoty jak weszli do wsi! – zawołał były kościelny.

– To przez tego dzika miałem biegunkę! – zaprotestował Marczyk.

Na szczęście nie doszło do wymiany ognia między gajowym i Marczykiem. Osiągnięto kompromis, kiedy to Nowejko wpadł nieopatrznie do wilczego dołu i po kilku nieskutecznych próbach wydostania się zaproponował sołtysowi negocjacje. Obydwie strony szybko wypracowały wspólne stanowisko, a kropkę nad i postawiono pod sklepem.

– Szkoda, że Nowejko się poddał – narzekał potem stary Marczyk.

– Grunt, że dał zgodę na odstrzał – pocieszał go były kościelny.

– Nie wierzę mu – zaciął się Marczyk – mówię wam, trzeba dla spokoju ze dwa razy wypalić w gajówkę.

Nikt go jednak nie poparł, młody Kalina zastanawiał się, czy nie skreślić z swojego menu dziczyzny, sołtys wzruszył tylko ramionami, a były kościelny popukał się wymownie w czoło.

– To może wystrzelić w stronę Mariaszek? – uparcie dążył Marczyk.

Towarzystwo jednogłośnie poparło ten pomysł. Trzymanie w ciągłym strachu i ryzach sąsiadów zza miedzy było dla mieszkańców Maślaków sprawą honoru. O tym wiedziało każde dziecko i listonosz, który tego dnia przezornie ominął Mariaszki.

O WYŻSZOŚCI POZIOMU NAD PIONEM

Sołtys patrząc na swoją Jadzię jak krząta się po kuchni odkrył, że małżonka inaczej wygląda w łóżku podczas snu a zupełnie inaczej przy garach.

Jednym słowem, nijak poziom miał się do pionu. Zupełnie jakby miał w domu dwie różne kobiety. Jego odkrywcze dywagacje rozwijały się, zdumiewając go samego. Otóż zdał sobie sprawę, że podobnie jest, kiedy Jadzia mówi i wtedy gdy milczy. Doszedł do wniosku, że najbardziej odpowiada mu milcząca Jadzia w łóżku, jednym słowem uzmysłowił sobie, że małżonka jest najlepsza podczas snu.

Sołtys spojrzał na zegarek i ciężko westchnął, bo nie chciało mu się iść w pole.

W radiu podawano prognozę pogody i przez chwilę sołtys nie myślał o Jadzi, bo akurat miał siano na łące, które już dawno powinien sprzątnąć.

Prezenter skończył czytać prognozę, a sołtys był głupszy niż wcześniej i okrutnie się wkurwił.

– I w końcu nie wiem, czy będzie u nas padać, czy nie?! – zawołał z rozpaczą – Gadają w tym radiu o Hiszpanii i Grecji, ale nic o nas, a ja mam siano na łące!

– To sprzątnij je dzisiaj! – odezwała się rzeczowo Jadzia.

– Dzisiaj, dzisiaj! – przedrzeźniał się sołtys – Jak nie będzie padać, to po co zwozić?

W tej samej chwili zagrzmiało, słońce schowało się za chmury i na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Sołtys odetchnął z ulgą.

– Przyda się deszcz, bo już nie było czym oddychać – powiedział podkręcając głośniej radio, z którego poleciała skoczna muzyczka – Jutro sianko przeschnie i będzie jeszcze lepsze.

Jadzia milczała pochłonięta własnymi myślami. Wyobrażała sobie jak leży na hiszpańskiej plaży w bikini i obzera się lodami, oczywiście sama, bez tego nieroba, który najlepszy jest tylko wtedy gdy śpi.

O ZAWIERANIU SOJUSZY

„Biznesu nie da się pogodzić z karierą zawodową”

— były sierżant Sosenko

W myśl, że każdą lukę w życiu cywilizowanej społeczności można zapełnić, młody Kalina po obejrzeniu magazyny 997 postanowił zająć się wymuszeniami. Po szczegółowej selekcji stwierdził, że cała społeczność Maślaków to biedaki nie warcie zachodu oprócz sklepowej.

– Żeby złupić sklepową musisz zawrzeć porządny sojusz!
– pouczył go stary Marczyk, kiedy młody Kalina zwierzył mu się z swoich zamiarów – Sam nie dasz rady.

– Niby z kim?

– A chociażby z sierżantem Sosenką!

– Z policjantem? – szczerze zdziwił się Kalina.

– A kto się lepiej na tym zna?! – zdenerwował się Marczyk – Tylko mu o tym powiedz, to zobaczysz jak mu się gały zajarzą.

– Do dupy z takim sojusznikiem! – prychnął Kalina – Zabierze mi łupy, a potem podkablkuje!

– A pewnie, pewnie, jak się do tego zabierzesz od strony dupy, to tak może być! – szydził Marczyk.

Panowie rozeszli się w niezgodzie myśląc o sobie jak najgorzej.

Młody Kalina poszedł na wieś, a Marczyk prosto na posterunek policji.

Przechodząc wedle stawu Kalina zobaczył Antka Pajdę i od razu poprawił mu się humor.

Antek Pajda od momentu, kiedy koń kopnął go w głowę, był młodzieńcem nieobliczalnym.

Kalina nie zdziwił się, że Antek łowił ryby za pomocą kija od szczotki, ale brak chociażby sznurka z haczykiem lekko go rozbawił.

– Nic nie złowisz bez żyłki i haczyka – życzliwie zwrócił mu uwagę.

– Dlaczego?

Młody Kalina ugryzł się w język i zapytał wprost.

– Chcesz zarobić dużo forsy?

Antek z zainteresowaniem oglądał kij od szczotki.

– A dlaczego nic nie złowię?

– No, to chcesz zarobić, czy nie? – uparcie drażył Kalina.

– Kto by nie chciał – z flegmą odparł Antoś – Kupiłbym sobie żyłkę i haczyk.

– No widzisz – ucieszył się Kalina – musisz tylko w nocy nastraszyć kogoś, a zarobisz tyle kasy, że kupisz sobie jeszcze podbierak.

– A po co mi podbierak?

– Żeby rybę wyłowić.

– Od tego jest wędka!

Kalina mimo chłodnego popołudnia zaczął się pocić.

– Masz rację.

– A co to jest podbierak? – zainteresował się nagle wędkarz.

– Później ci wytłumaczę, a teraz chodź ze mną, zobaczysz ile forsy zarobimy!

– To ty też zarobisz? – zdziwił się Antek.

Kalina był bliski płaczu.

– A dlaczego mam nie zarobić, przecież pójdziemy razem?!

– Tobie też potrzeba na żyłkę i haczyk?

– Tak i to od zaraz! – wrzasnął Kalina czując, że nie boi się już wariata i jest go w stanie utopić razem z kijem od szczotki.

– Dobrze, pójdę z tobą – nagle zgodził się Antek – tylko złowię złotą rybkę.

Młody Kalina rozplakał się jak dziecko.

W tym czasie stary lis, Marczyk dotarł na komisariat i poprosił sierżanta Sosenkę „na słóweczko” gdzieś „na boczku”, bo jak się wyraził: są sprawy, których na policji się nie załatwia.

Następnego dnia sklepowa dostała anonim, w którym tajemniczy nadawca żądał pieniędzy w zamian za odstąpienie od fizycznego napadu, gwałtu, podpalenia, rabunku etc.

Pod spodem, wzorem bankowych umów, pisana drobnym druczkiem widniała informacja:

„Jedynym waszym ratunkiem jest wynajęcie ochrony w osobach Eugeniusza Marczyka oraz Stanisława Sosenki (taryfa 20 zł na h).”

Było to bardzo niefortunne posunięcie.

Sierżant Sosenko został sprowadzony do stopnia posturkowego, zaś stary Marczyk stanął przed sądem grodzkim, gdzie wyparł się wszystkiego odmawiając składania zeznań ze względu na zasługi wojenne.

KOMISJA

W ciągu jednej nocy we wsi zginęło trzy rowery, kura i kapelusz starego Marczyka. Śledztwa na ochotnika podjął się młody Kalina. Samozwańczy detektyw postanowił działać metodycznie, czyli przesłuchiwać wszystkich po kolei, chałupa po chałupie nie wyłączając poszkodowanych. Taki miał plan.

– Patrz im w oczy jak będziesz zadawał pytania i udawaj, że wszystko zapisujesz – poradził mu stary Marczyk.

– Dlaczego mam udawać – zdziwił się detektyw – przecież umiem pisać.

– Nie wiedziałem – przyznał szczerze Marczyk myśląc w duchu, że Kalina kłamie.

Na pierwszy ogień poszła rodzina Kopciów, a że było ich nie licząc dziadków dziesięcioro, Kalina skończył pracę późnym wieczorem.

– Nie wiedziałem, że ta robota jest taka ciężka – poskarżył się chłopom pod sklepem – dzieciaki plątają się w zeznaniach, a stare nic nie pamiętają.

– A co ty myślisz! – odezwał się sołtys – To ciężki kawałek chleba.

– Dajcie mnie sołtysie tydzień, a znajdę tego co rąbnął rowery! – zawołał chwacko stary Marczyk.

– A kurę i wasz kapelusz?

– Kapelusz był w sklepie, a kura leżała za stodołą, lis ją pewnie porzucił, ale żyła jeszcze to poszła na rosół – zeznał uczciwie Marczyk oblizując się na same wspomnienie o rosole.

– Kura była moja – oburzył się Kalina.

– Wielki mi detektyw, każdy o tym wie! – zgasił go Gienio – Ale grypę to ja ryzykowałem!

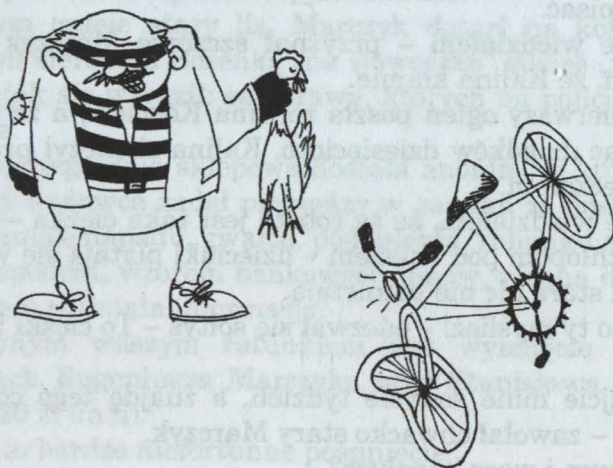
– To jak będzie sołtysie?

– Jaki macie plan?

– Każdy podejrzany dostanie ćwiartkę „rozmownego” bimbru co go pędzi stary Kopeć. Ten, który odmówi konsumpcji, to będzie złodziej!

Sołtys zwołał całą wiejską społeczność pod remizę i powołał komisję w sprawie zniknięcia rowerów. W skład komisji wszedł gajowy Nowejko ze względu na uzbrojenie, stary Kopeć z powodów oczywistych oraz sołtys z urzędu.

Komisja nie trzeźwiała już trzeci tydzień nie załując sił i zdrowia, ale złodzieja rowerów nie mogła ustalić. Żaden z przesłuchiowanych nie odmawiał, co więcej społeczeństwo okazało się chętne do współpracy i ochoczo stawiało się



przed komisję nawet nie wzywane. Dochodzenie zataczało coraz szersze kręgi ogarniając całą gminę. Niestety wszystko co dobre kiedyś musi się skończyć i tak też się stało, gdy wypito ostatnią szklankę bimbru. Gienio Marczyk odgrażał się jeszcze, że wróci do sprawy jak tylko stary Kopeć uzupełni zapasy, bo wszystkich nie zdążył przesłuchać. Dawało to jakąś nadzieję.

Następnej nocy sołtys cichcem wymknął się z chałupy i jak duch przemierzał wiejskie opłotki. Oko miał bystre niczym jastrzęb, na twarzy maskę Zorro, a we łbie z kilogram adrenaliny.

I znów we wsi zginęło trzy rowery i kura.

O FORTUNIE, KTÓRA KOŁEM SIĘ TOCZY

– Wczoraj obejrzałem w telewizji film – odezwał się niespodziewanie Antek Pajda, który ze względu na trwałą kontuzję głowy rzadko zabierał głos.

– O czym? – z grzeczności zapytał były kościelny.

Antek swoim zwyczajem przez chwilę był nieobecny.

– O fortunie, która kołem się toczy – odparł w końcu.

Młody Kalina spojrzał pytająco na gajowego Nowejkę, ten na sołtysa, sołtys na byłego kościelnego a ten znów na Kalinę.

– Czyli o miłości? – zgadywał gajowy.

Antek kiwnął głową.

– Tak, o fortunie, która kołem się toczy.

„Biedny chłopiec – pomyślał Nowejko oglądając fuzję – nawet nie wie co oglądał, może jak bym mu wystrzelił znie-nacka koło ucha, to by wyzdrowiał?”.

– Już wiem! – zawołał młody Kalina – Też to oglądałem, ale to nie było o miłości! Facet chla wodę przez cały film i to kolorową aż mu bańki idą nosem, a w przerwach gra w ruletkę, a na dodatek kręci się koło niego jakaś kurwa i jeszcze mu zabrania pić!

– Od razu mów, że to komedia! – zaśmiał się były kościelny.

– Też bym chlał przez cały film, bo strasznie nudzę się w kinie – westchnął gajowy.

– Najgorsze są występne kobity! – mądrył się były kościelny – Nie dość, że ci na flaszkę nie dołoży, to ci jeszcze liczy każdą szklanke!

– Ona ratowała go od śmierci! – krzyknął rozpaczliwie Antek.

„Oho – pomyślał Nowejko odbezpieczając fuzję – jednak mu wypałą przy uchu.”

– Zabraniając mu pić? – zdziwił się sołtys.

– Tak – odparł stanowczo Antek – z prawdziwej miłości.

Gajowy zastanawiał się, które ucho będzie odpowiedniejsze: lewe, prawe, a może środkowe?

– Jakby mnie Jadzia zabroniła pić z miłości do mnie – ironizował sołtys – to bym zakończył takie kochanie w try miga. Ty Antoś takich filmów o miłości lepiej nie oglądaj.

– Właśnie – poparł sołtysa były kościelny – lepiej oglądaj seriale.

Antek milczał z dziwnym uśmieszkiem na twarzy wpatrując się tępo w sztachety płotu co znowu zaniepokoiło gajowego.

„Doliczę do dziesięciu i strzelam” – postanowił w duchu Nowejko.

– Seriale mają jeden minus – odezwał się młody Kalina – nie mają zakończenia.

– I o to chodzi – zawołał były kościelny – przez całe życie możesz oglądać.

– Do usranej śmierci – filozoficznie zakończył całą dyskusję Antek, bo w tej samej sekundzie rozległ się wystrzał z fuzji gajowego.

Niestety zamiar gajowego, żeby uzdrowić Antka, spalił na panewce, gdyż jakimś dziwnym zrządzeniem losu fuzja wypaliła przy uchu młodego Kaliny. Następstwem tego zdarzenia nieszczęśnik przez kilka dni bełkotał w nieznanym języku i kapał się w ubraniu w wioskowym stawie razem z kaczkami.

Kiedy doszedł do siebie, o niczym nie pamiętał i słabo słyszał, więc trzeba mu było wszystko dwa razy powtarzać.

Tylko były kościelny nie bardzo dowierzał w jego dolegliwości, bo jak zawołał go na piwo, to przybiegł od razu.

– Jest mi winien 11 złotych i nie chce oddać – skarżył się sołtysowi – mówi, że nie pamięta.

– Następnym razem wystawiaj weksle – poradził mu sołtys – wtedy się nie wyprze.

– Tak zrobię – burknął były kościelny – a kiedy mnie oddacie 7 złotych?

Sołtys spojrzał w niebo i ciężko westchnął.

– Mówiłem, żebyście wystawiali weksle.

JAK PRYWATYZOWANO MLECZARNIE

Były kościelny po całonocnej balandze postanowił iść na pielgrzymkę do Rzymu i skończyć z dotychczasowym niemoralnym trybem życia. W drodze do sklepu spotkał sołtysa i młodego Kalinę jak radzili o czymś pod starą mleczarnią i od razu pochwalił się o swoim szlachetnym zamiarze.

- To bardzo pięknie – mruknął sołtys – kiedy wyruszać?
- Jeszcze nie wiem – zafrasował się były kościelny – bo szczerze mówiąc nie wiem jak się do tego zabrać.
- Pielgrzymka do Rzymu to nie byle jaki odpust – zauważył młody Kalina – kiedy wyruszać?
- Były kościelny wyczuł, że chłopci chcą go spławić i ma to związek z budynkiem starej mleczarni.
- Ładny budynek – zagał sprytnie – i pusty stoi.
- Ta rudera nadaje się tylko do rozbiórki – fuknął Kalina.
- Były kościelny umocnił się w przekonaniu, założył ręce do tytułu i przespacerował wzdłuż mleczarni.
- Zgrabny baraczek – ocenił z przekąsem – i pustak nie byle jaki, przedwojenny.
- No dobrze – poddał się sołtys – chcemy go sprywatyzować, tylko nikomu ani mru mru, na razie to tajemnica.
- Ma się rozumieć – zatarł ręce były kościelny.
- A co z pielgrzymką? – zapytał z nienawistnym błyskiem w oku młody Kalina.
- Pójdę, a pewnie że pójdę, może jutro albo za tydzień! – zawołał były kościelny – Rzym nie zajac!

Budynek starej mleczarni został tego samego dnia wieczorem dogłębnie sprywatyzowany w osobach sołtysa, młodego Kaliny, gajowego Nowejki i byłego kościelnego.

Z udziałem tych obywateli powstał tam pierwszy w okolicy nocny klub dyskusyjno-relaksacyjny.

Jako że początki są zawsze trudne, pierwszej nocy chłopci tylko się relaksowali i to z poświęceniem, gdyż pito i grano w oko na starych bańkach po mleku, ale za to w jakiej romantycznej scenerii, przy świecach i ognisku, które rozpalało na podłodze rozlewni z powodu okrutnego zimna.

Następnego dnia założyciele klubu zebrali się pod sklepem dopiero po południu.

Były kościelny z trudem trzymał piwo w ręce, gajowy posiał gdzieś fuzję i siedział jak struty próbując odtworzyć

sobie przebieg nocnych wydarzeń, sołtys miał guza wielkości jabłka, a młody Kalina podbite oko po wymianie zdań na temat wyboru prezesa klubu.

Kiedy listonosz ich zobaczył, aż zagwizdał z wrażenia.

– Mariaszki was najechały?

– A skądże! – oburzył się sołtys – Prywatyzacja!

Listonosz ze zrozumieniem pokiwał głową i postawił wszystkim po piwie. Atmosfera zelżała, bo nie ma nic lepszego na świecie jak dobry uczynek bliźniego. Popołudnie zapowiadało się nieźle, bo listonosz miał dla Marczyka rentę, żeby nie odgłos wystrzałów, które rozległy się z pastwiska.

– To moja broń! – poznał gajowy i pognął jak szalony.

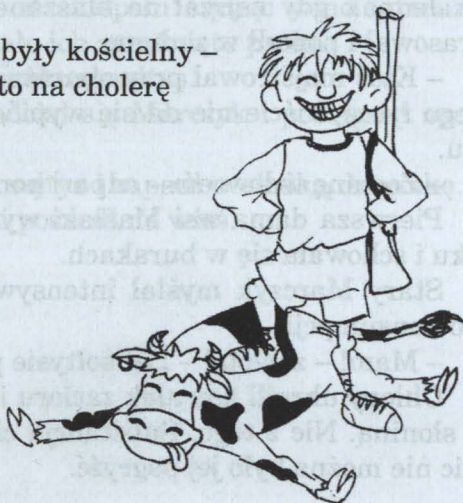
Na pastwisku z dymiącą fuzją w ręku stał Antek Pajda i uśmiechał się szeroko. U jego stóp leżała ostatnia krowa wsi Maślaki.

– Safari! – zawołał dziko Antek i zatańczył nad padłym krowy.

Myśliwego szybko obezwładniono i odebrano broń.

– Najważniejsze, że sprywatyzowaliśmy mleczarnię zgodnie z duchem czasu – podsumował później całe zdarzenie sołtys.

– Właśnie! – poparł go były kościelny – Jak we wsi nie ma krów, to na cholerę mleczarnia!



JAK MOŻNA SIĘ OTRZEĆ O NOBLA

„W dziedzinie odkryć stawiam sołtysa przed Kopernikiem”

— stary Marczyk

– No i stało się! – wrzasnął niczym biblijny prorok sołtys, a głos jego usłyszała cała wieś i zadrżały kolana starym babom, ale nie ukłękły.

Żona jego, Jadwiga z domu Koperek, uśmiechnęła się pod słusznym wąsikiem, co o jej nad wyraz gorącym temperamencie świadczył.

– Czego się drzesz, baranie? – zapytała choć odpowiedź znała zawczasu.

– Cały zacier szlag trafił! – zawył sołtys z poczuciem ogromnej krzywdy – Tego nie da się wypić!

– Wszystko da się wypić! – zawołał stary Marczyk, który akurat przechodził obok i słysząc biadolenie sołtysa postanowił pośpieszyć mu z pomocą.

Jednak gdy zajrzał do blaszanej bańki, szczerze się zafrasował i popadł w zadumę.

– Ktoś majstrował przy aparaturze – mruknął po chwili – tego rzeczywiście nie da się wypić, to jest w jednym kawałku.

– Zostanę wdowcem – odparł ponuro sołtys Sroka.

Pierwsza dama wsi Maślaki wyszła z chałupy po angielsku i schowała się w burakach.

Stary Marczyk myślał intensywnie jak uzdatnić bimber do konsumpcji.

– Mam! – zawołał – Leć sołtysie po nóż i słoninę!

Chłopy ukroili kawałek zacieru i próbowali go zjeść razem z słoniną. Nic z tego. Substancja ciągnęła się jak guma i za nic nie można było jej pogryźć.

– Tego nie da się nawet połknąć – jęknął sołtys.

Stary Marczyk żuł uparcie spory kawałek aż oczy uciekły mu w głąb czaszki.

– Sołtysie – wymamrotał w końcu – dostaniecie Nobla, wymyśliliście gorzałkę do żucia i zagrycha niepotrzebna i popitka...

Nie dokończył, bo utracił pozycję pionową i pożeglował w niebyt, po chwili żeglował z nim sołtys.

Następnego dnia cała męska populacja Maślaków ruszała zuchwami jak szalona, tak że tylko plomby trzeszczały i tanio wychodziło, bo sołtys po złotówce brał za kawałek, a gięło do ziemi niemilosierdzie.

Sołtys wybaczył żonie, chociaż nie mogła sobie przypomnieć czego dodała do zacieru, co moc jego podniosło i wydajność wzmogło.

– Szkoda, że Jadzia nie chce powiedzieć co dolała – jęknął stary Marczyk – Nobla by sołtys dostał.

– E tam, dobrze, że już się skończyło – pokręcił głową Sroka – co za dużo to niezdrowo, od tego żucia głowa bardziej bolała i sklepowa już się odgrażała, że sodomę zrobi, bo wino słabiej szło i kruszony.

Siedzieli we dwóch pod sklepem sącząc wino i mrużąc ślepie, a słoneczko głaskało ich zarośnięte pyski.

– Żniwa za pasem – mruknął sołtys.

– Ja nie obsiałem – odciął się Marczyk i pociągnął spory łyk.

– Ja też nie – ziewnął sołtys i zapadł w słodką drzemkę.

Stary dopił jego wino i poszedł na wieś.

KONTROLA

*„Można wpaść spod deszczu w kompot śliwkowy,
jeśli się dobrze nie bada terenu”*

— młody Kalina

(po zmieszaniu piwa z winem)

Złe wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Pierwszy przyleciał do sołtysa młody Kalina.

— We trzech przyjechali, pod krawatami – relacjonował podniecony – podróżnych udawali i mocno spragnionych.

Sołtys słuchał w napięciu.

— Jeden wziął piwo, drugi kruszon, a trzeci wino, wszystko na procentach i dalej nalepki oglądać.

— Nie napili się? – szczerze zdziwił się sołtys – Może to oszuści, legitymacje pokazali?

— Pokazali i poprosili sklepowego o pozwolenie na sprzedaż alkoholu, a jak im pokazał, to aż z radości podskoczyli do góry.

— Pozwolenie jest w porządku – mruknął sołtys – sam je wystawiałem.

— To i sołtys pójdzie siedzieć! – odparł bezlitośnie młody Kalina – Mnie piwo kazali odstawić, że niby mocno przeterminowane i na świadka do protokołu chcieli wziąć, ale weszła sklepowa, to uciekłem przez okno.

— Sklepowa wróciła? Chryste! – jęknął sołtys.

Jeszcze sołtys nie ochłonał, gdy wpadł były kościelny.

— Już po wszystkim! – zakomunikował.

— Odjechali? – zapytał z nadzieją sołtys.

— Niby jak? – wzruszył ramionami były kościelny – Ich szczęście, że sklepowa ledwo co z pielgrzymki wróciła to i litościwsza bardziej niż zwykle. Sklepowemu też się po mordzie dostało za to, że ich wpuścił.

— Trzeba ich uwolnić – zdecydował sołtys.

— Łatwo powiedzieć – mruknął Kalina.

Sołtys wiedział, że nikt zdrowy na umyśle mu nie pomoże. Pamiętał jak 20 lat wstecz odprowadzał sklepową z zabawy i stracił dwa przednie zęby, a wtedy była jeszcze zwiewną panienką.

– Trzeba tam iść – grobowym głosem odezwał się sołtys – kto pójdzie ze mną?

Jakby było echo, to na pewno by mu odpowiedziało.

– Ja pójdę – zgłosił się nagle Antek Pajda.

Nikogo to nie zdziwiło, bo odkąd koń kopnął Antka w głowę, miewał jeszcze bardziej szalone pomysły. I tak poszli przez wieś, dwaj straceńcy: sołtys i wioskowy wariat.

Kiedy dotarli na miejsce, konflikt wydawał się być zażegnany.

Sklepowa niedbale oparta o płot uprzejmie gwarzyła z kontrolerami, którzy chwacko wymachiwali motykami w jej kartoflach.

– Usmażę im placków – odezwała się sklepowa widząc sołtysa.

Sołtys wszedł do sklepu, a Antoś przyłączył się do kopa-czy. Dziwny chłopiec.

– A co będzie z protokołem pokontrolnym? – zagaił sołtys sklepowego.

– Zjedzą z plackami – wybełkotał przez opuchnięte usta nieszczęsny małżonek sklepowej.

Sołtys taktownie milczał popijając kwaśne piwo. Myślał o złożeniu urzędu i ewentualnym następcy na swoje miejsce. Taki Antek Pajda, na przykład.

PLANTATORZY

Gajowy Nowejko dostał od nadleśnictwa zlecenie na odstrzał dzika, który siał spustoszenie w uprawach gospodarzy z Mariaszek. Dwa dni za nim łąził i kilka razy miał go na muszce, ale nie strzelił.

– Jak pomyślę, że tyle dobrego ten zwierzak dla Maślaków robi, to zaraz oko mi łzawi i ręka drży – skarżył się pod sklepem.

– To nasz dzik – odezwał się sołtys – nie wolno go krzywdzić.

– Na nasze uprawy nie włązi – poparł go młody Kalina.

Były kościelny, który nie miał nawet morga ziemi i za nic miał rolnictwo, roześmiał się beczelnie.

– A co miałyby ten dzik na Maślakowych polach robić? – zapytał – Zdechłby na nich z głodu, przecież tam tylko oset i perz po pas.

– Ej, ty pusta mózgownico – po ojcowsku odezwał się sołtys – za grosz nie masz pojęcia o rolnictwie.

– Przecież tam rosną same chwasty – drwił były kościelny – od dwóch lat nawet nie oraliście!

– Od pięciu – poprawił go Kalina,

– To jest największa w powiecie plantacja ziół i przypraw! – wybuchnął sołtys – Tam rosną miliony!

Młody Kalina aż wstał z ławeczki, nawet on nie wiedział, że jest współwłaścicielem ogromnej plantacji ziół wartych miliony. Gwoli prawdy sołtys wpadł na to rano, przy śniadaniu oglądając telewizję, gdzie pokazano jak przedsiębiorcze małżeństwo nieużytki rolne zamieniło w dochodowy interes uprawiając na nich majeranek, kozłek lekarski i tym podobne badyle.

– To może tego dzika lepiej palnąć w łeb! – zawołał młody Kalina – A nuż łobuz zasmakuje naszych ziół?!

– Jak nie ma kartoflów, to nie wejdzie – uspokoił go gajowy.

– To niech sobie zwierzaczek żyje – odetchnął Kalina i ruszył w stronę pól – Idę obejrzyć plantację – poinformował towarzystwo pod sklepem i tyle było go widać.

Były kościelny nagle zmarkotniał, bo nic tak nie dołuje jak bogactwo innych.

Gajowy postawił mu piwo, ale i to nie poprawiło mu humoru. Dopiero jak przyjechał listonosz wręczając staremu Marczykowi ponaglenie do zapłaty grzywny, poczuł się ciut lepiej.

– Za co ta grzywna? – zapytał gajowy Nowejko z czystej przyzwoitości, bo powszechnie było wiadomo, że Marczyk po każdej zabawie ma kłopoty z prawem.

– Właśnie czytam! – niegrzecznie odparł wioskowy chuligan – Myślisz, że tak łatwo można się w tym połapać?

– Sto złotych za wypalanie łąk pod Mariaszkami! – odpowiedział za starego listonosz i dodał – Urzędowe pisma zawsze czytam pierwsze, a zwykle listy zostawiam sobie na koniec.

– Dlatego tak długo idą – zgadł były kościelny.

– Staram się jak mogę – zapewniał listonosz – ale niektórzy tak bazgrolą, że muszę czytać po kilka razy.

– Za głupią stówę mogę jeszcze wypalić kilka łąk! – pogardliwie prychnął Marczyk i podarł pismo.

Były kościelny zarechotał i ciepło spojrzał na starego wypalacza traw.

Następnego dnia kilkanaście jednostek ochotniczej straży pożarnej gasiło ugory pod Maślakami. Wśród walczących z żywiołem zdecydowanie wyróżniał się były kościelny.

Plantacje ziół diabli wzięli.

STARY OBYCZAJ

Stary Marczyk po ostatniej zabawie dożynkowej został skazany przez sąd grodzki na grzywnę, a za obrazę sądu dodatkowo na dozór policyjny, który miał nad nim sprawować posterunkowy Sosenko.

Marczyk zgłosił się na komisariat następnego dnia i zasygnalizował swojemu opiekunowi, że najlepiej będzie, jeśli ten wpadnie do niego do chałupy raz na jakiś czas i będzie po herbatce.

Sosenko tłumaczył, że dozór policyjny nie polega na picciu herbatki w domu skazańca i nie będzie się włóczył po wsi, chyba że herbatka będzie z prądem.

Sąd oczywiście nie miał zielonego pojęcia, że obaj panowie znają się jak łyse konie. Ogólnie sąd o niczym nie miał zielonego pojęcia.

– Ty jesteś moja krew – tłumaczył Marczyk Sosence – Twoja matka nosiła partyzantom jedzenie do lasu kiedy jeszcze z nimi trzymałem. Rozumiesz, co mam na myśli?

Posterunkowy Sosenko nie rozumiał, ale zgodził się na nadzór w domu skazańca.

– Tylko nie mów mi tato – zastrzegął się Marczyk – bo stuprocentowej pewności nie mam.

– Teraz jest ich dwóch, od tygodnia piją herbatę i knują – szeptali do sołtysa były kościelny – policjant i łobuz, klasyczny związek.

– Dewianty? – ożywił się sołtys i oczka mu się zaiskrzyły, bo zawsze chciał poznać dewianta.

– A gdzie tam! – zachnął się były kościelny – Klasyczny związek mafijny!

Sołtys wiele słyszał o mafii, a nawet oglądał „Ojca Chrzestnego”.

– Ciekawe, który którego będzie w łapę całował – odezwał się z zawiścią, bo ten akt posłuszeństwa bardzo mu się podobał.

– Trzeba działać – nalegał były kościelny – lecę po Antka i gajowego.

Sołtys zanim podjął jakąś decyzję zawsze radził się starego Marczyka, ale w tej sytuacji pozostał mu tylko listonosz.

– Nie widzę żadnych przeciwwskazań, żeby się do nich przyłączyć – zaopiniował doręczyciel.

– Jak to? – życzliwie zaciekał się sołtys.

– Wskazane jest – mądrzył się listonosz – żeby w strukturach mafijnych władza samorządowa miała swojego przedstawiciela, zawsze tak było, to stary obyczaj.

Ten ostatni argument mocno sołtysa poruszył, bo przypominał sobie, że krzewienie tradycji miał w swoim programie wyborczym.

– Tylko nie przyjmujcie byłego kościelnego, bo donosi – ostrzegł listonosz.

– A młodego Kalinę? – zawołał za odjeżdżającym doręczycielem sołtys.

– Idiota zawsze może się przydać! – odkrzyknął listonosz i zniknął za zakrętem.

Jakby ktoś tej nocy zajrzał przez okno do chałupy starego Marczyka, ujrzałby scenę niezwykłą. Na brudnej podłodze klęczeli młody Kalina, posterunkowy Sosenko oraz stary Marczyk, a wśród nich z wyciągniętą do całowania łapą stał sołtys. Capo di tutti capi wsi Maślaki.

W tym samym czasie, na drugim końcu wsi, pod lasem zawiązywała się konkurencyjna organizacja w osobach gajowego Nowejki, byłego kościelnego i Antka, ale nic z tego nie wyszło.

Miedzy członkami powstał spór o to, kto kogo ma całować w rękę.

Skończyło się na tym, że każdy każdemu kazał pocałować się w dupę i towarzystwo rozeszło się do domów.

OSTATNIE ŁĄCZE Z CYWILIZACJĄ

Gajowy Nowejko obejrzał poranne wiadomości, a później swoją dubeltówkę. Z tego, co mówili w telewizorze, miał prawo wygarnąć do każdego kto mu podskoczy. Sam minister tłumaczył przestraszonej dziennikarce, że to obywatelskie prawo bronić się przed łobuzami. Gajowy nie bardzo dowierzał swoim uszom i następnego dnia udał się do sołtysa.

– Nie ma tego opoja! – warknęła sołtysowa wściekle przewracając oczami – A ty lepiej pilnuj lasu i nie zawracaj mi dupy!

Trzasnęła z furją drzwiami, aż gajowemu spadł kapelusz z głowy.

„Właściwie to mogłem wypalić w ten rozczochrany łeb” – pomyślał gajowy – „Napadła na mnie z pyskiem bez zdania racji”.

Idąc przez wieś zastanawiał się, co by na jego miejscu zrobił minister i doszedł do wniosku, że sołtysowej należał się przynajmniej siarczysty klaps. Już miał wracać, gdy zobaczył młodego Kalinę, który stał pod kasztanowcem i gapił się na koronę drzewa.

– Uderzył mnie w głowę kasztan! – poskarżył się gajowemu Kalina – Głupi kasztan!

– A po co stoisz pod drzewem?

– Chuj cię to obchodzi! – niegrzecznie odparł młody Kalina.

Nowejko pomyślał, że na takiego idiotę szkoda kuli.

– Widziałeś sołtysa? – zapytał.

– Stoi na przystanku.

Sołtys rzeczywiście stał na przystanku autobusowym wytrzeszczając gały jakby tańczyło przed nim stado gołych bab.

– Jeszcze wczoraj stała tu wiata! – zawołał do zbliżającego się gajowego.

– Zgadza się – odparł Nowejko – a w tym miejscu była metalowa ławeczka na trzy osoby.

– Na cztery! – poprawił go Kalina, który opuścił miejsce pod drzewem, gdy następny kasztan ugodził go w czoło – Tabliczka z rysunkiem autobusu też znikła!

– Nie ma przystanku – stwierdził sołtys.

– Nie ma przystanku? – zdziwił się młody Kalina.

– Rozumiem, rower ukraść albo na sarnę zakłusować – rozsierdził się gajowy – ale żeby społeczne dobro zapierdolić ze środka wsi?

– To sprawa Mariaszek – odparł sołtys błyskając wściekle oczami – chcą nas odciąć od świata!

– Do takich drani minister kazał strzelać bez ostrzeżenia! – zawołał Nowejko – Trzeba ich najechać!

Sołtys co tchu rozesłał wici do chałup i zarządził zbiórke pod sklepem. Stawili się wszyscy uzbrojeni po zęby, nawet stara Ludwikowa, oprócz starego Marczyka, co mocno zdziwiło zebranych.

– On by takiej wyprawy nie odpuścił – powiedział sołtys – musieli go dranie porwać...

Nie dokończył, bo w tym momencie pod sklep z piskiem opon zajechała taksówka, z której prosto na twarz wypadł stary Marczyk. Kierowca wyjął z bagażnika dwie skrzynki wódki, splunął z obrzydzeniem i odjechał.

– Narodzie kochany – bełkotał Marczyk plując ziemią – już nigdy nie pojedę do miasta..

Bawiono się hucznie do rana i nikt się nie pytał, z jakiej okazji stary Marczyk ugościł tak wieś, bo czy wypada pytać o cokolwiek fundatora? Ktoś tam szemrał, że widziano dobroczyńcę w miasteczku, w skupie złomu, przy wadze, ale czy to ważne, skoro przez ostatnie kilka lat autobusy i tak omijały Maślaki szerokim łukiem.

O BEZPIECZNEJ KĄPIELI PO ALKOHOLU

– Dostałem list od prezydenta! – wołał już z daleka młody Kalina idąc przez wieś i wymachując ulotką.

– O matko boska! – zatrwożyła się stara Ludwikowa i uklękła na jedno kolano – Będzie wojna!

Młody Kalina wkroczył między chłopów stojących nad stawem niczym udzielnym księżem i podetknął byłemu kościelnemu pod nos kolorową kopertę.

– Sam prezydent do mnie napisał! – zapiszczał z emocji.

Sołtys i gajowy Nowejko nawet na niego nie spojrzeli gapiąc się ponuro w szuwary.

Młody Kalina stanął przed sołtysem w rozkroku i wbił mu palec w kufajkę na wysokości piersi.

– Dobrze by było, żeby wieś kupiła mi telefon komórkowy – powiedział mrużąc mściwie oczy – bo jak prezydent do mnie zadzwoni i zapyta jak się w Maślakach rządzi, to nie wiem co mu odpowiem.

Były kościelny wziął od Kaliny list i spokojnie go podarł rzucając skrawki do wody.

– Do każdego we wsi napisał jak to przed wyborami – mruknął.

Gajowy zarechotał, a za nim stary Marczyk.

Kalinę całkowicie замуrowało i nadal stał przed sołtysem kłując go brudnym paluchem w kufajkę. Chłopi przesunęli go na bok i powrócili do kontemplowania stawu.

– Trzeba spuścić wodę – odezwał się wreszcie sołtys.

– A po cholere – zauważył inteligentnie gajowy – nie lepiej jebnąć prądem?

– A jak tam nic nie ma? – zapytał Marczyk.

– Jest! – oburzył się sołtys – Na własne oczy widziałem jak to coś pożarło kaczkę! Zielone było, a mordę miało jak walizka!

– Wygląda na to, że mamy w stawie krokodyla! – odezwał się gajowy Nowejko, który na zwierzakach znał się najlepiej.

– Do morza będzie z pięćset kilometrów – pokręcił głową Marczyk – czołgał by się taki kawał?

Młody Kalina zaintrygowany rozmową odzyskał w końcu głos.

– A ja się tu wczoraj kąpałem i to po pijaku!

– Co by to nie było, trzeba ukatrupić! – zdecydował sołtys.

– Rzućmy przynętę, a jak wypłynie, to zastrzelę drania i będzie po sprawie – powiedział gajowy repetując broń.

– A co będzie najlepsze na przynętę? – zapytał sołtys.

Wszyscy pomyśleli o młodym Kalinie, ale nad stawem pojawił się listonosz. Był tak pijany, że z miejsca zgodził się wejść do stawu za dwa wina i pięć piw.

– Ja się krokodyli nie boję – bełkotał zdejmując spodnie – niech się one boją.

Jeśli był jakiś potwór w stawie, to zapewne został wypłoszony przez listonosza, który przez dobry kwadrans baraszkował w wodzie i nienaruszony wyszedł na brzeg.

– Nic tam nie ma, sołtysie – z pretensją zawołał były kościelny – co wy tam widzieliście?

– Nie rozumiem, mówię wam, mordę miał jak waliza! – zarzekał się sołtys.

– Jest tylko jedno wytłumaczenie – odezwał się stary Marczyk – krokodyl nie rusza nawalonych, dlatego Kalina i listonosz przeżyli, a kaczka nie.

– Można się kąpać, ale tylko po pijaku! – ogłosił wszem i wobec sołtys.

Listonoszowi było to obojętne, ubrał się i zażądał, żeby mu zaraz przynieśli ze sklepu obiecane dwa wina i pięć piw, bo inaczej wszystkich powrzuca do stawu na pastwę krokodyla. Były to strachy na lachy, bo towarzystwo nad stawem miało już we krwi po kilka promili alkoholu, ale słowa dostrzymano.

MELANCHOLIA STAREGO MARCZYKA

O tym jak można przyjść nie w porę

Stary Marczyk po obejrzeniu telewizyjnych wiadomości mocno posmutniał, gdyż przypomniawszy sobie, że dwa razy był w Wehrmachcie i to na ochotnika.

Raz przebrał się w niemiecki mundur, żeby dla kawału postraszyć swoją narzeczoną Halinkę i zrobił to tak skutecznie, że dziewczyna dostała ataku hysterii i diabli wzięli narzeczeństwo, a drugi raz podczas sławnej wyprawy na Marjaszki, skąd uprowadzono dwustukilową maciorę i barana.

Z partyzantką ludową też miał na pieńku, bo zawsze ilekroć go wyrzucano, wtedy ginęło kilka granatów i prowiant.

Im bardziej Marczyk sięgał pamięcią do lat swojej młodości, w tym większą popadał melancholię.

Zaraz po wojnie głośno występował przeciwko reformie rolnej, ale jak się zorientował, że chodzi o rozdawanie czyjejszy ziem, to szybko zapisał się do partii.

Równie szybko z niej wystąpił, kiedy to na zebraniu gromadzkim jako jedyny zagłosował za przyjaźnią polsko-amerykańską chwalać głośno zalety dolara.

Od tej pory stał się typem aspołecznym i był notorycznie represjonowany przez ówczesne organy ścigania. Doszło do tego, że w sąsiednich wsiach straszono nim niesforne dzieciaki.

Proboszcz też napiętnował go publicznie podczas kazania i nazwał antychrystem za kradzież puszek z datkami, chociaż powszechnie było wiadomo, że to była sprawka byłego kościelnego i sołtysa.

Marczyk siedząc przed telewizorem zdał sobie sprawę, że tak naprawdę jest przeciwko wszystkim i wszystkiemu i poczuł się bardzo samotny, nikomu niepotrzebny. Akurat leciał

amerykański serial o zbrodniach „Moda na sukces” i stary opłutł telewizor. Nie o taką Amerykę walczył.

– Wystartuj na radnego w najbliższych wyborach – poradził mu sołtys, kiedy następnego dnia Marczyk zwierzył mu się ze swoich rozterek – Z takim życiorysem wygrasz w cułgach, a ja będę miał swojego człowieka w gminie.

Stary Marczyk złapał za siekierkę i sołtys musiał uciekać.

Wrócił do domu w jeszcze gorszym nastroju. Wypił resztę zacieru, zjadł ostatni kawałek salcesonu i przygotował się na śmierć. U powały zawiesił solidną linę ze zgrabną pętelką i ustawił taborecik.

O tym co wydarzyło się później nie mogę państwu opowiedzieć ze względu na zakaz sądu, w którym toczy się sprawa przeciwko Marczykowi.

Mogę jedynie napomknąć, że w tym dniu po wsi myszkował komornik i coś mu wpadło do pustego łba, żeby odwiedzić starego.

Przebywa w tej chwili na obserwacji w zakładzie dla psychicznie chorych i według specjalistów nie wróci już do swojego zawodu. Życie uratował mu listonosz. Komornik dołączył do grona osób, którzy widzieli światelko na końcu tunelu.

Według sołtysa cała sprawa ma wymiar polityczny i cała wieś solidarnie się z nim zgodziła oprócz młodego Kaliny, który lubi mieć czasem inne zdanie, co w demokratycznym społeczeństwie jest naturalne.

Najbardziej radykalny był były kościelny.

– Listonosz nie powinien komornika odcinać – stwierdził twardo – raz na jakiś czas naród musi się odgrzyźć!

SOLIDARNI

O wyższości dobrych intencji nad przynależnością organizacyjną

– Czuję się okradziony i oszukany – odezwał się sołtys i ciężko westchnął.

– Okradli sołtysa? – ucieszył się mimo woli młody Kali-na
– A to pech!

– Z ideałów mnie okradli! – zawołał sołtys.

Towarzystwo pod sklepem popadło w zadumę, bo w ich wyobrażeniu nie mieściła się kradzież ideałów.

– Kto okradł? – zapytał konkretnie były kościelny, któremu z dziesięciu przykazań siódme było najbliższe.

Sołtys dopił wino i cisnął pustą flaszkę w krzaki.

– Komuniści i te po nich, farbowane zające! Nie o to walczyłem 25 lat temu w Gdańsku!

– Tere fere kukuryku – zaprotestował niekonwencjonalnie były kościelny, gdyż grzało tego dnia mocno – przecież sołtys nigdy nie był nad morzem!

– To Gdańsk jest nad morzem? – zdziwił się młody Kalina.

– W górach Tatrowych – zakpił były kościelny.

– To ja nic nie rozumiem, to gdzie w końcu sołtys walczył?

– W Zomo był i pałował miastowych – z satysfakcją oznajmił były kościelny.

– Ale duchem byłem w Gdańsku z Solidarnością, a ty jako były kościelny powinienes wiedzieć, że duch jest ważniejszy od ciała!

– Za co sołtys pałował miastowych? – zapytał młody Kalina, gdyż nie nadążał za tematem.

– Rozkazy wykonywałem, ty durna pało! – zezłościł się nagle sołtys, bo dyskusja schodziła na boczne tory nie dotykając sedna sprawy. – Czy ty wiesz, jak mi było ciężko w konspiracji, w mundurze wroga swoich przyjaciół? Tyle

poświęceń, knowania, nieprzespanych nocy i co ja mam z tych przemian?

– Gówno! – odparł zgrabnie były kościelny.

– Ech ty, żeby nie ja, to w stanie wojennym dyndał byś na gałęzi, za zniknięcie puszek z parafialnymi datkami – zasycał zjadliwie sołtys.

– Razem byśmy dyndali – odparł hardo były kościelny – sam tego nie przechlałem.

– To nawet była wojna? – ponownie zdziwił się młody Kalina – Z kim?

– Miastowi na wioskowych! – zbył go były kościelny i wszedł do sklepu po dwa wina, dla siebie i sołtysa, gdyż czuł, że trochę przeholował.

Sołtys trochę się boczył, ale nie trwało to zbyt długo. Poruszył jeszcze temat okrągłego stołu i zgodnie z byłym kościelnym odcięli się od tego wydarzenia totalnie je krytykując.

Młody Kalina był jeszcze obecnym ciałem, ale nie duchem i nie słyszał tej ciekawej z punktu historycznego polemiki. Spał smacznie pod sklepową ławeczką i śniło mu się, że siedzi na białej kobyle i dowodzi chłopami z całego powiatu w wojnie z miastowymi.

Niestety, w trakcie brawurowej szarży na oddziały miastowych został brutalnie obudzony przez sklepową.

Wracając ciemną nocą do domu zauważył brak pieniędzy, które rano wygrał w oko od byłego kościelnego.

– Zostałem okradziony! – darł się jak opętany idąc przez pogrążoną we śnie wieś – Okradzioooo mnieee!

Po czym skręcił na pole i walnął się w stertę zboża. Zasnął tuląc się do snopka żyta i dałbym sobie palec uciąć, że to był chochoł. Chochoł!

JAK MOŻNA TRAFIĆ DO SZPITALA BEZ SKIEROWANIA

O tym, jak nie wolno grać na nerwach

Były kościelny przyszedł pod sklep pożegnać się z najbliższymi. Ucałował w oba policzki sołtysa, uściskał gajowego Nowejkę, a młodemu Kalinie położył dłoń na ramieniu głęboko patrząc w oczy aż ten wyjął z kieszeni pięć złotych i oddał, choć z żalem.

– Jadę do szpitala, chociaż nie mam skierowania – zakomunikował drżącym głosem, chociaż wiedzieli o tym wszyscy, bo zegnał się już trzeci dzień – i nie wiem czy wrócę żywy.

„To po ci pieniądze” – pomyślał młody Kalina, ale milczał licząc, że pożegnanie znowu przedłuży się do wieczora i zakończy w klubie, w starej mleczarni.

– Wspominajcie mnie dobrze – kontynuował już twardszym głosem były kościelny wierząc wzrokiem chłopów – bo mój duch będzie krążył między wami!

Sołtys uśmiechnął się do swoich myśli, bo wyobraził sobie jak duch byłego kościelnego kręci się pod sklepem i zagląda każdemu do butelki.

– Będą mnie operować – snuł smętnym głosem były kościelny – wyprują flaki, wstawią nowe jelita i jakiś woreczek z kiszka, wysmarują to śmierdzącym mazidłem, a potem zaszyją.

Młody Kalina przełknął głośno ślinę, przed oczami zawirowały mu różowe plamki i poczuł mdłości. Gajowy z niesmakiem odstawił wino, a sołtys przypomniał sobie krokiety z kapustą, które jadł na śniadanie i dostał czkawki.

– Operacja może się nie udać – zrzędził dalej były kościelny – jakaś żyłka zapłacze się doktorowi z drugą żyłką,

nastąpi krwotok i gangrena gotowa. Bebechy zaczną gnić, a ropa ściekać będzie nosem i uszami.

Kalina odszedł na bok, a zanim sołtys.

– Zgon może nastąpić dopiero po kilku dniach – żalił się nad sobą były kościelny aż łza pociekła mu po policzku – mogę konać w męczarniach godzinami i nikt nie poda mi nawet szklanki wina. A najgorsze jest to, że po operacji człowiek nie panuje nad sobą i zmuszony jest walić w pampersa.

Gajowy oddał mu butelkę wina i pobiegł w krzaki.

Stary Marczyk nie był obrzydliwy, więc z zainteresowaniem słuchał wynurzeń byłego kościelnego.

– Napisałeś testament? – zapytał.

– A po co? – przestraszył się nagle były kościelny.

Stary Marczyk machnął ręką i wszedł do sklepu.

Były kościelny wydudnił do końca wino gajowego i stwierdził z żalem, że został sam, ale gdy zajechał listonosz, ucieśli się niezmiernie i zaczął od nowa snuć swoje medyczne opowieści.

Przy „czyszczeniu jelit” listonosz wyróżnął go w pysk. Cucenie byłego kościelnego nic nie dało i sklepowa zadzwoniła po pogotowie. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy karetka odwiozła go na sygnale do szpitala. Młody Kalina wątpił, żeby to było prawdziwe pogotowie, bo za szybko przyjechało.

– Może to łowcy narządów?

– To strasznie się rozczarują jak mu cokolwiek wytną – zauważył stary Marczyk – że o nerkach nie wspomnę.

– Niepotrzebnie oddawałem mu pięć złotych – zmartwił się Kalina – na pewno mu ukradną, widzieliście tego wielkiego sanitariusza, jak to niby sprawdzał puls, a łapę zapuszczał do każdej kieszeni?

– Grunt, że go zabrali – mruknął z ulgą sołtys – czas był najwyższy.

POMNIK

Rozeszło się po Maślakach, że w Mariaszkach postawiono w środku wsi obelisk ku czci jakichś tam bohaterów, którejs tam wojny. Oczywiście o tym wydarzeniu musieli napisać do gazety i zaprosić telewizję.

Gajowy Nowejko ściał dwie sosny i zatarasował szosę do Mariaszek, ale jego trud poszedł na marne, bo okazało się, że ekipa telewizyjna ma przylecieć helikopterem.

Stary Marczyk i gajowy chcieli strzelać do maszyny, ale sołtys miał obawy, że helikopter mógłby spaść na jego chałupę jako największą we wsi. Tu powstał spór, bo sklepowa uważała, że to jej dom jest najwyższy w Maślakach, przez to bardziej zagrożony. Wieś podzieliła się na dwa obozy, jedni twierdzili, że maszyna spadnie na sklep, a drudzy, że na dom sołtysa.

Spór rozwijał się w najlepsze, gdy nadleciał helikopter. Wtedy Marczyk wyrwał fuzję gajowemu i wystrzelił, żeby przekonać się kto ma rację, ale z powodu niewyspania chybił. Listonosz sprytnie przejął od niego fuzję i dwukrotnie poprawił, ale też nie miał szczęścia.

– Oddajcie strzelbę gajowemu! – wrzeszczał młody Kalina.

Ale było już za późno, helikopter odleciał i spór o to, która chałupa jest bardziej zagrożona i największa, został nierozstrzygnięty.

– Wystarczyło zmierzyć linijką – odezwał się Antek, ale nikt głuptaka nie słuchał.

– Wydaje mi się, że moja kula doszła celu – głośnie rozprawał listonosz, tak żeby słyszała sklepowa – bo helikopter zachwiał się nad sklepem.

– Nieprawda! – zawołał młody Kalina – Zakołysał się nad chałupą sołtysa!

– Najgorsze jest to, że telewizja doleciała do Mariaszek – pojednawczym tonem odezwał się sołtys, gdyż dobro publiczne wsi przedkładał nad prywatne ambicje.

– A niech sobie filmują ten pomniczek – prychnął z pogardą stary Marczyk – jutro i tak go wysadzę!

Nikt we wsi nie wątpił, że tak się stanie i emocje opadły.

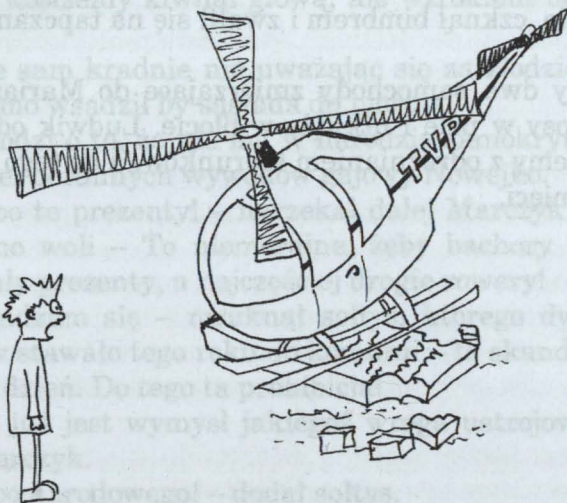
Jednak stary Marczyk nie musiał spełniać swojej obietnicy, gdyż pomnik w Mariaszkach został zniszczony przez helikopter podczas lądowania i z transmisji z jego odsonięcia wyszły nici.

Podobno pilot miał kłopoty ze statecznikiem, który był poszarpany jak kalafor.

We wsi było dwóch bohaterów, listonosz i Marczyk, i sołtys obiecał ich odznaczyć.

Ale listonosz się zawział i zapowiedział, że z nikim nie będzie dzielił się chwałą, bo to on trafił w statecznik.

Stary Marczyk myślał podobnie dodając, że orderów ma całą szufladę i liczy co najmniej na mosiężną tablicę upamiętniającą wydarzenie.



Żeby zażegnać nowy spór, sołtys wycofał się z obietnicy i udał się do kowala Ludwika.

Pomysł z mosiężną tablicą bardzo mu się spodobał.

Tydzień później na miejscu, gdzie był przystanek autobusowy, pojawiła się tablica pamiątkowa.

Napis był krótki: „Dla sołtysa Jana Sroki za zasługi na rzecz niepodległości Maślaków – wdzięczny naród”.

Żeby go przeczytać, trzeba było dobrze przechylić głowę, bo Ludwik z braku surowca nie mógł w jednym rzędzie zmieścić liter. Chwała mu i za to! Sztuką bowiem było na trójkątnym znaku drogowym, który ukradł z szosy przed zakrętem do Mariaszek, wyryć gwoździem jakiekolwiek epitafium.

Stary Marczyk kilka razy okrzyknął tablicę sterczącą na metalowej rurce i machnął ręką.

– Helikopter na to nie spadnie – ocenił z pogardą.

– A większy wiatr przewróci – dodał listonosz.

Następnego dnia pod tablicą leżała wiązanka z badyli i pokrzyw. Potem ktoś przywiązał wygłodzonego psa do metalowej rurki i nakarmił go surowym mięsem. Trzeciego dnia sołtys poddał się i Ludwik odniósł znak drogowy na miejsce.

– Za życia trudno liczyć na wdzięczność narodu – poskarżył się żonie, czknał bimbrem i zwałił się na tapczan w ubra-
niu.

Tej nocy dwa samochody zmierzające do Mariaszek zjechały z szosy w pole i utknęły w błocie. Ludwik od dziecka miał problemy z odróżnianiem kierunków, a do tego malował znak z pamięci.

MAJOWE ROZTERKI

Tuż przed uroczystościami komunijnymi pod sklepem rozgorzała dyskusja nad celowością wszelakich zbytków związanych z tym duchowo religijnym wydarzeniem.

Stary Marczyk twierdził, że każda baba we wsi rozumie i zgadza się, że to przegięcie urządzać takie kosztowne przyjęcia, ale do siebie tego nie weźmie, raczej poleci to sąsiadce uważając, że jej samej należy się w tej materii tzw. kart blansz.

Młody Kalina nie słuchał uważnie, ale ożywił się, gdy usłyszał ostatnie słowa.

– Jak się w to gra? – zapytał wyraźnie zaciekawiony, gdyż hazard uwielbiał ponad wszystko.

– W co? – nie zrozumiał Marczyk.

– No, w te kart blansz.

– Tak jak w oko! – oszukał go Marczyk, bo do końca nie był pewien znaczenia słów i narzekał dalej – Zresztą tak jest ze wszystkim, każdy się zgodzi, że nie wolno na przykład kraść, prawda?

Były kościelny kiwnął głową, ale wzrokiem uciekł gdzieś w bok.

– Ale sam kradnie nie uważając się za złodzieja, chociaż za to samo wsadził by sąsiada do pierdła!

– Chodzi o to, że nie ma w narodzie samokrytyki? – zgadywał cel porannych wywodów gajowy Nowejko.

– Albo te prezenty! – narzekał dalej Marczyk nakręcając się mimo woli – To niemoralne, żeby bachory same sobie wybierały prezenty, a najczęściej drogie rowery!

– Zgadzam się – mruknął sołtys, którego dwóch chrześniaków stawało tego roku do komunii – to skandal i grabież w biały dzień. Do tego ta prohibicja!

– To już jest wymysł jakiegoś wroga ustrojowego! – wypalił Marczyk.

– Albo narodowego! – dodał sołtys.

– To przecież jest wszystko jedno! – skwitował były kościelny.

– A dupa i tył to też jest jedno? – zapytał krzywiąc się złośliwie stary Marczyk.

Gajowego Nowejkę nie obchodziły wywody, gdzie jest tył a gdzie dupa. Od dwóch dni tropił dzika i już, już miał go na muszce, gdy zwierzak ulotnił się jak kamfora. Nie byłoby to takie bolesne, gdyby dzik nie był obstalowany przez rodzinę Kopciów jako główne menu na przyjęcie komunijne i gdyby gajowy nie wziął zaliczki.

– Zajęćów nie chcę – rzucił stary Kopeć, gdy gajowy zaproponował mu zamiennik – dałem ci zaliczkę na dzika!

– A sam nie możesz zakłusować? – poprosił gajowy.

– Nie, to zabronione! – zażartował Kopeć, który miał na rozkładzie kilkaset dzików – Darz bór!

Gajowy szpetnie zaklął i poszedł w las.

– Oj, będziecie jeszcze wpierdalać lebiode i dzikie jagody – złorzeczył pod nosem jak niepyszny.

Wszedł w gąszcz i zaplątał się we własne wnyki. Leżąc twarzą w liściach pomyślał, że nadszedł już czas, żeby w lesie zrobić porządną przecinkę.

Tej nocy stary Marczyk nie mógł zasnąć, tylko myślał o potęgujących się wydatkach. Doświadczenie życiowe podpowiadało mu, że tylko jakaś państwowa ustawa mogłyby rozwiązać problem.

Następnego dnia na drzwiach sklepu jakaś niewidzialna ręka przybiła komunikat, który zakazywał wręczania prezentów dzieciom do lat dziesięciu pod groźbą grzywny lub kary więzienia.

Pod spodem czytających straszył rysunek, na którym ogromny drab wabił rowerkiem niewinne, ubrane na białło dzieciątko i napis: „Uwaga! Pedo Fil nie śpi!”. Podpis pod komunikatem uwiarygodniał tekst i rysunek, a ranga ministra robiła wrażenie.

Komunikat został przyjęty ze zrozumieniem, tylko Antek myślał, że minister ostrzega przed złodziejami rowerów.

ARMAGEDDON

O tym jak koniec świata może być początkiem wspaniałych rzeczy

Sołtys kupując w sklepie papierosy i piwo zauważył publicznie, że artykuły pierwszej potrzeby drastycznie zdrożały. To odkrycie przełożyło się na doznania smakowe, piwo wydało mu się wyjątkowo kwaśne, a papierosy duszące jak nigdy.

– To niemożliwe – jęknął odstawiając pełną butelkę – nigdy mi się to nie zdarzyło.

Młody Kalina szybko wypił sołtysowe piwo, co mocno rozgniewało byłego kościelnego, który miał podobny zamiar, ale siedział za daleko.

– Palić też nie mogę – oznajmił łamiącym się głosem sołtys jakby miał za chwile paść na twarz.

Tym razem były kościelny był szybszy chwytając w locie rzuconego przez sołtysa papierosa.

– Sołtys jest poważnie chory – stwierdził stary Marczyk – zbuntował mu się organizm.

Sołtys zdziwił się, że Marczyk mówi o nim jakby był nieobecny.

Ta konwencja spodobała się innym.

– Czy on może zarażać? – zapytał ze strachem młody Kalina odstawiając szybko piwo.

Były kościelny uśmiechnął się złośliwie, ale po sekundzie zbłądł uświadamiając sobie, że kopci papierocha, którego trzymał w ustach zainfekowany sołtys.

– Trzeba go natychmiast zbadać! – zawołał i brzydko zakasłał.

– Oho, następny – zafrasował się stary Marczyk – szybko to idzie.

– Co idzie? – zapytał błydy jak ściana Kalina.

– Armageddon – odparł stary Marczyk i ciężko westchnął – czyli koniec świata.

Sołtys nerwowo przypalił papierosa, ale po chwili zgasił go dusząc się jak cholera.

– To ta ptasia grypa – jęknął usuwając się na kolana.

Po chwili klęczeli we trzech, a nad nimi stał niczym biblijny prorok stary Marczyk.

– Powstańcie moje niebożęta – zawołał naśladując styl proboszcza z Mariaszek, który podniosłe słowa z lubością mieszał z wyzwiskami – przecież od roku, baranki skretyniały, nie jedliście rosołu, bo we wsi nie ma nawet pół koguta.

Stary Marczyk zamilkł, bo od strony gościńca rozległ się donośny śpiew. Za chwilę ich oczom ukazał się listonosz i nie wiadomo było, czy to on prowadzi rower, czy to rower prowadzi jego.

Czapki nie miał, a z torby na listy co rusz wypadały gazety.

Pokutnicy szybko wstali i strząsnęli kurz z kolan.

Listonosz darł się jak opętany na skoczną melodię i był nad wyraz wesoły.

– No, to teraz na pewno poleci z roboty – skomentował krótko sołtys.

– Sklepowa nie pozwoli – nie zgodził się były kościelny.

Listonosz stanął przed chłopami i przetaił oczy.

– Gdzie ja jestem? – zabełkotał i przewrócił się na rower.

Leżąc na rowerze kontynuował konwersację.

– Nie podnoście mnie – prosił – nie zasługuję na to, przepiłem renty dwóch obywateli z Mariaszek.

Chłopi troskliwie usadzili go na ławeczce.

– Całe dwie renty? – zapytał z podziwem były kościelny.

Listonosz w odpowiedzi wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów.

– I napocząłem trzecią – wyznał z rozbrajającą szczerością.

– Wyjdzie po dwa wina na twarz – ocenił szybko młody Kalina.

– Na trzy – poprawił go sołtys czując, że wraca do zdrowia.

Armageddon ominał Maślaki, bo wyszło po trzy wina na głowę, co skutecznie zabiło zarazki raz na zawsze. A że ktoś tam w Mariaszkach nie dostał renty? To pyłek w porównaniu z wizją końca świata.

PREZYDENCKI ŁEB

*„Między młotem a kowadłem jest chłop,
a między sierpem i młotem nasz sołtys”*

— stary Marczyk

Fakt, że przez ciągle podwyżki piwa i papierosów sołtys o mały włos by nie zachorował na ptasią grypę, mocno zaciążył w jego pamięci. Kilka dni deliberował jak na przyszłość zaradzić podobnym wybuchom epidemii, aż w końcu znalazł antidotum. Doszedł do wniosku, że tylko równoważenie strat i zysków może uchronić ludzkość przed widmem zagłady, co po prostu oznaczało wprowadzenie nowych podatków.

– Co mają wspólnego podatki z zarazą? – zastanawiał się były kościelny czytając obwieszczenie zawieszone na drzwiach sklepu.

Gajowy Nowejko miał ochotę wypalić z fuzji w urzędowy komunikat, ale się pohamował ze względu na obecność sklepowej, która na prośbę kilku klientów na głos przeczytała rozporządzenie sołtysa.

– Do wiadomości mieszkańców wsi Maślaki i okolic! – czytała sklepowa – W związku z podwyżkami w naszym sklepie artykułów pierwszej potrzeby, co grozi wybuchem

epidemii, wprowadzam podatek od wszystkiego co się we wsi rusza i oddycha...

– Czyli rowery nie będą opodatkowane – ucieszył się Antek Pajda.

Sklepowa zgromiła go wzrokiem i dokończyła:

– ...oraz od rowerów.

Cisza zapadła pod sklepem, a słońce skryło się za chmury.

– Jedyna zaraza we wsi to nasz sołtys – odezwała się szyderczo sklepowa.

– Mnie podatki nie dotyczą – odezwał się młody Kalina uśmiechając się głupawo – oborę mam pustą, a rower przepiłem.

– Podatki zawsze biją w bogatych – mruknął były kościelny.

Wszyscy zadrżeli, bo wiadomo było, że były kościelny ma na myśli sklepową.

– Taka jest sprawiedliwość ludowa i o to trzeba walczyć – wymądrzał się młody Kalina – podatki trzeba płacić i ja też będę.

– Mówiłeś, że nic nie masz – zauważył Antoś.

– Mam postawę obywatelską! – zezłościł się Kalina.

– Nasz sołtys to prezydencki łeb – zawołał były kościelny – dba o biednych!

Tego dla sklepowej było już za wiele.

– Od dzisiaj koniec z kupowaniem na zeszyt! – zagrzmiała jak trąby jerychońskie albo jeszcze głośniej – Dopóki sołtys nie cofnie rozporządzenia, płaciecie u mnie gotówką!

Zamaszystym ruchem zerwała z drzwi obwieszczenie i weszła do środka.

– Śmierć burzujom! – wydarł się za nią młody Kalina.

– Cicho głupi! – syknął były kościelny – Leć po sołtysa!

Sołtys do białego rana negocjował warunki rozejmu ze sklepową, aż osiągnęli kompromis.

Kredyt sołtysa został umorzony, a dekret o podatkach wyładował w koszu, powróciła też sprzedaż z opóźnioną płatnością. Życie we wsi powróciło do normy.

No, może nie dla wszystkich, gdyż sklepowa wyłączyła z układu młodego Kalinę i byłego kościelnego za wichrzycielstwo. Niedoszli rewolucjoniści nie mogli brać w sklepie na kredyt przez miesiąc, ale po złożeniu samokrytyki skrócono im karę do tygodnia.

Po kilku dniach ceny artykułów pierwszej potrzeby znów wzrosły o kilka procent, co stary Marczyk podsumował krótko:

– Kurestwo!

O NAKAZIE REWIZJI I TRUDNEJ SZTUCE ODMAWIANIA

Młody Kalina wraz z posterunkowym Sosenką skoro świt zapukali do drzwi sołtysa Sroki, właściwie to Kalina zapukał, a Sosenko reprezentujący bądź co bądź resort siłowy, załomotał. Sołtys wyszedł na ganek w samych kalesonach i na widok Sosenki lekko się przestraszył, tym bardziej, że obok stał młody Kalina, o którym wiadomo było, że mściwy jest i donosi dla satysfakcji.

– Bez nakazu rewizji nie wpuszczę – zawołał Sroka zapierając się w drzwiach.

Kalinie na samą myśl, że mógłby poszperać w szafach sołtysa, zabłyśły ślepie.

– Nakaz rewizji jest w drodze – skłamał bystro.

Sosenko słysząc to zbaraniał, bowiem wybrał się do sołtysa całkiem prywatnie w sprawie zakupu, a młody Kalina przyłączył się do niego po drodze dla towarzystwa.

– Nie wpuszczę! – upierał się sołtys.

Posterunkowy zamachał rękami jakby bronił się przed upierdliwą muchą.

– Marczyk mnie przysłał – wykrztusił w końcu znacząco mrugając.

– Ile? – zapytał rzeczowo Sroka oddychając z ulgą.

– Dwie, ale na krechę.

– Jak na krechę, to jedna – zimno odparł sołtys.

Sosenko zgodził się skwapliwie, schował do kieszeni płaszcz butelkę i grzecznie się pożegnał. Młody Kalina nadal dotrzymywał mu towarzysztwa i posterunkowemu nie pozostało nic innego jak zaprosić intruza „na jednego”.

– Szkoda, że nie mieliśmy nakazu rewizji – pożalił się na przyjęciu u Marczyka Kalina.

– W każdej chwili mogę ci wystawić! – zawołał buńczucznie Sosenko i machnął od ręki urzędowy nakaz przeszukania na rąbku starej gazety.

Młody Kalina założył służbową czapkę Sosenki, złapał pismo i wybiegł z chałupy, co z ulgą przyjął stary Marczyk, bo trzech do butelki wydało mu się czystym rozbojem.

Zanim Kalina wrócił, flaszka została opróżniona, a wrócił szybko, po kwadransie, całkiem odmieniony z podbitym okiem i rozdartą na plecach kufajką.

– Gonił mnie przez pół wsi – zabełkotał przez opuchnięte usta – i podarł nakaz.

– A gdzie moja czapka? – zapytał bez cienia złości Sosenko.

– Nie wiem – odparł Kalina i rozbeczał się jak małe dziecko, nie wiadomo, czy na widok pustej butelki czy nad rozdartą kufajką?

Stary Marczyk długo musiał uspakajać młodego Kalinę i tłumaczyć, że posterunkowy Sosenko nie może mu pożyczyć służbowej broni, bo od ostatniej zabawy sam nie ma, gdyż zgubił w niewyjaśnionych okolicznościach w zaroślach za remizą. Doradzał mu tradycyjne narzędzia zemsty takie jak siekiera, widły czy sztachety z ogrodzenia byłego kościelnego jako jedyne we wsi z dębowego drzewa. Kalina uspokoił się dopiero jak Sosenko przyniósł drugą butelkę i wiadomość od

sołtysa, że ten postawi jeszcze dwie jak Kalina nie będzie robił obdukcji i nie złoży skargi. Zażądał też oświadczenia na piśmie z podpisami świadków. Został jeszcze kawałek gazety, na którym Marczyk sporządził żądany dokument i wymienił na bimber. Następnego dnia pod sklepem były kościelny w mocnych słowach podkreślał głupotę młodego Kaliny.

– To baran nad barany – wołał do chłopów – jakby zrobił sobie obdukcję, to by pił na krechę przez okrągły rok!

Niektórzy twierdzili, że Kalina postąpił mądrze. Lepiej raz porządnie się napić, niż przez cały rok żyć w ciągłym strachu. Tym bardziej, że nie wiadomo było, kto jest w posiadaniu pistoletu posterunkowego Sosenki.

Sprawa zgubionego pistoletu Sosenki rodziła we wsi wiele spekulacji. Jedni twierdzili, że napadli go chłopci z Mariaшек, a drudzy, że Sosenko pistolet przepił, a całą historię z napadem zmyślił.

Faktem jest, że podczas dożynkowej zabawy wszedł w krzaki za potrzebą na oczach wielu świadków, a wyszedł po godzinie z guzem na czole bez pamięci i kabury.

Żeby wyjaśnić tę tajemnicę, trzeba się cofnąć do czasu słynnej kampanii ma rzeczą trzeźwości jaka miała miejsce w Maślakach zaraz po żniwach.

W tym czasie do Gminnego Ośrodka Zdrowia do wydziału walki z alkoholizmem i wszelkiego jego przejawami trafił anonim – donos na społeczność Maślaków.

Autor listu bez cienia przyzwoitości opisywał rozpustę i degrengoladę mieszkańców wsi podsumowując, że chleją zarówno baby i chłopcy, i to wszystko co im w łapy wpadnie.

Dyrektor ośrodka wysłał do wsi swojego pracownika w osobie Józefa Koguta z dwoma odczytami i ogromną walizką ulotek i broszur.

Kogut wrócił po czterech dniach bez walizy i broszur i od razu trafił pod kropelówkę.

Dyrektor doszedł do wniosku, że sprawa jest bardziej złożona i wymaga interwencji wyższego szczebla, więc wsiadł w samochód i pojechał do Maślaków.

Nie miał zamiaru urządzać nudnych odczytów, na których połowa prelegentów zazwyczaj upijała się na smutno, postanowił chodzić od chałupy do chałupy i pod każdą strzechą tłumaczyć, przekonywać i oświecać jak zgubną rzeczą jest pijaństwo.

Mówiono, że dobrze mu szło dopóki nie zaczął stosować przykładów z życia i praktycznych ćwiczeń.

Okazało się, że dyrektor ma słabą wolę i nie opanował sztuki odmawiania tak dobrze jak mu się wydawało. Był kościelny uważał, że to mimo wszystko wielki człowiek, bo napił się dopiero w piątej chałupie, co świadczyło o niezwykle silnym charakterze.

Po ćwiczeniach z asertywności było już z górki i niejeden specjalista od alkoholowych nauk chciałby to zobaczyć.

Dyrektor doznał amoku eklektycznego, bez lęku rzucił się na psa i dotkliwie go pogryzł tylko za to, że na niego zaszczał. Pies nie miał szans, bo był na łańcuchu. Usiłował cwałować na malutkim koziołku wrzeszcząc, że to koń arabski czystej krwi, a na koniec wpadł do remizy podczas zabawy i urządził striptease pierwszej kategorii zakładając sobie kalesony na głowę. Był tak szybki, że ludziska ledwo za nim nadążali. Można by rzec, jak określił to sołtys, że: „miał w dupie motorek”.

Wieś była pełna podziwu dla dokonań tak ważnej osoby i kiedy zapał dyrektora osłabł, ułożono go w zaroślach za remizą. W te właśnie krzaki wszedł posterunkowy Sosenko za potrzebą i można się tylko domyśleć jaka scena tam się rozegrała, gdy terapeuta został ocucony w sposób zaiste niekonwencjonalny.

Nikt nie wie jak dyrektor dotarł do ośrodka, ale pewne jest, że dołączył do Koguta i przez jakiś czas dzielił z nim kropłówkę. Samochód odebrał dopiero po wykopkach, co

z wielkim żalem przyjął młody Kalina, bo już się do widoku auta przyzwyczaił, a nawet zdołał je otworzyć.

Dyrektor po powrocie do zdrowia zakazał swoim pracownikom czytania anonimów, a wieś Maślaki wykreślił ze swojego rejestru.

Tylko jedna rzecz była dla niego tajemnicą, nie dawała spokoju i napawała przerażeniem.

Za cholerę nie mógł sobie przypomnieć jak wszedł w posiadanie pistoletu?

PRZEDWOJENNY ZBÓJNIK I JEGO DRUŻYNA

Siódmego kwietnia o 6.31 sołtys Sroka wyruszył do Urzędu Gminy w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Wrócił dwudziestego kwietnia o 22.12 bez roweru i płaszcza.

Następnego dnia wyszedł na pole i zamglonym ze wzruszenia wzrokiem ogarnął swoje włości.

Spacerował od miedzy do miedzy i dumał. W końcu zmęczony usiadł na chłodnej ziemi, na rozstaju polnych dróg. Miał nadzieję, że dopadnie go jakieś choróbsko i zdrowo pokręci.

Może zapalenie opon mózgowych, bo wtedy jako wariat mógłby się wyłgać od odpowiedzialności, a było od czego. Sołtys miło spędził czas w miasteczku, do chwili gdy nie zasiadł do gry w oczko i migiem przerznął całą swoją ojcowiznę. Przegrał też chałupę z meblami i inwentarz. Najbardziej żał było mu telewizora, który kupił na raty.

Kiedy tak siedział czekając na przeziębienie, usiadł mu na ramieniu wróbel i być może szepnął coś do ucha, bo po-

derwał się z ziemi i rażnym krokiem pomaszerował do wsi, do starego Marczyka.

– Masz kilka wyjść z sytuacji, jeśli tylko spisałeś umowę na kartce papieru – odezwał się po ojcowsku stary, gdy sołtys wyłuszczył mu swój problem.

– Myślałem, żeby tego łobuza... – sołtys nie dokończył mrugając znacząco.

– Może być, ale jest ryzyko – niby zgodził się Marczyk – nowy prezydent nie ułaskawia jak poprzedni. Poza tym ziemia jeszcze zmarznięta, kto dołek wykopie?

Sołtys wtulił głowę w ramiona i grzecznie słuchał.

– Można tego karciarza z miasta potraktować szantażem – kontynuował stary – wyślemy mu taki list bez pod-pisu, że służba bezpieczeństwa ma go na oku, bo orznął w karty agenta i na pewno nie odważy się tu przyjechać.

– Szantaż mi się podoba – uśmiechnął się sołtys – a co będzie jak się nie przestraszy i przyjedzie z notariuszem?

– Mam plan awaryjny – pewnym głosem odparł Marczyk – za okupacji nie tacy przychodzili po mnie i jak widzisz gównu mi zrobili. Schowasz się, a wszyscy zaświadcza, że z tego całego nieszczęścia powiesiłeś się w lesie.

– To będzie najlepsze – zgodził się sołtys.

Tę interesującą naradę przerwał młody Kalina, który przybiegł z wiadomością, że pod sklepem pojawiło się dwóch turystów. Zeszli nierozważnie ze szlaku i trafili do Maślaków po dwóch dniach błakania się po lasach.

– Piją teraz oranżadę i pytają o sołtysa – relacjonował Kalina – ponoć były w radiu komunikaty o ich zaginięciu. Były kościelny już ich wylegitymował, ale okazało się, że nie mają nawet na piwo.

Pod sklepem rzeczywiście stało dwóch turystów z ogromnymi plecakami w otoczeniu byłego kościelnego, gajowego Nowejki i Antka.

– Włóczy się taki jeden z drugim po puszczy bez grosza przy duszy i wstępuje beczelnie na oranżadę – żalił się były kościelny.

– Odwołuje się do pańskiego poczucia humanitaryzmu – odważnie odezwał się jeden z turystów do sołtysa – Ci panowie – ruchem głowy wskazał chłopów – nie chcą nam powiedzieć jak dojść do szosy.

– Słyszałem o tym humanitaryzmie! – zawołał z pogardą młody Kalina – Przez to miałem kolegum!

Młody Kalina nie kłamał, w zeszłym tygodniu zgładził wieprzka zgodnie z unijnymi przepisami, jak najbardziej humanitarnie (rąbnął go prądem z akumulatora, że ten nawet nie kwiknął), a sąd grodzki i tak skazał go na grzywnę jak się okazało, że tucznik należał do gospodarza z Maria-szek. Od tamtej pory Kalina nie miał już zaufania do unijnych przepisów, a w szczególności do humanitaryzmu.

– Trzeba być człowiekiem – odezwał się wielkodusznie sołtys i pokazał brudnym paluchem drogę w przeciwnym kierunku.

Turyści grzecznie podziękowali i ruszyli niczym wielkie żółwie z ogromnymi plecakami na karkach.

– Ten sołtys wyglądał jak przedwojenny zbójnik – odezwał się szeptem młodszy turysta, chociaż byli już za wsią i nikt nie mógł go usłyszeć.

– A ta reszta, jak drużyna Robin Hooda.

– A tego gajowego to ja widziałem w telewizji.

– Ja też – odparł starszy – wyciągaj żwawiej nogi.

Gajowy Nowejko rzeczywiście był raz w telewizji i na stronach kilku szmatławych gazet, gdy wdepnął we własne sidła podczas polowania z udziałem ministra.

Następnego dnia przyjechał do wsi podejrzany typ z rozbieranymi oczkami i rozpytywał się o sołtysa. Równie szybko odjechał gdy dowiedział się, że jego dłużnik wisi na stuletnim dębie, a rodzina dyszy rządzą zemsty. Młody Kalina chciał nawet zaprowadzić gościa do lasu i pokazać mu gdzie dynda sołtys.

– To on jeszcze wisi? – zdziwił się przybysz.

– Czekamy na prokuratora – odparł Kalina.

Typek szybko wszedł do auta i tyle go było widać.

MIŁOŚĆ A'LA MŁODY KALINA

– Ludzie są za bardzo kochliwi i to stąd biorą się wszystkie nieszczęścia na tym łożu padole – bardzo ładnie powiedział stary Marczyk, gdy po wsi rozeszła się wieść, że młody Kalina znów się zakochał.

– Spacerował z tą dziewczuchą w taki mróz – opowiadał gajowy Nowejko – i pytał mnie jak dojść do paśnika z sianem.

– I co, pokazałeś im? – zapytał były kościelny, bo uwielbiał takie niemoralne historyjki – Poszłeś za nimi?

– A po co? – zdziwił się gajowy.

Byłemu kościelnemu przemknęło przez głowę, że gajowy jest gejem.

– To już trzecia narzeczona w tym tygodniu – dziwił się na głos sołtys.

– Miłość jest piękna – rozmarzył się Antek Pajda, który tylko dzięki serialowi „M jak miłość” posiadał jako taką edukację seksualną.

– A skąd ty o tym wiesz? – zdenerwował się były kościelny – Nawet nie masz pojęcia skąd się biorą dzieci!

– A właśnie, że wiem! – zawołał Antek.

– Tylko znów nie pierdol o bocianach i kapuście! – zastrzegł były kościelny.

Antek parsknął śmiechem.

– Każdy głupek wie skąd się biorą dzieciaki!

– I to jest najgorsze – mruknął sołtys i dodał z troską – młody Kalina za tysiąc złotych zdolny jest przedłużać swój ród w nieskończoność, a pazerny jest jak mało kto we wsi.

Gajowy wyobraził sobie gromadkę młodych Kalinoszczaków pijących piwo pod sklepem, a wieczorem baraszkujących z dziewczynami. Gajowy wiedział, że jak w naturze jest czegoś za dużo, to któryś z gatunków musi wyginąć.

– To może być koniec cywilizacji – zatrwożył się.

– To nie idzie tak szybko – pocieszył go sołtys.

Wzmianka o pieniądzach zakłóciła spokój byłego kościelnego.

– Ciekawe, czy stara Ludwikowa mogłaby jeszcze urodzić? – zastanawiał się na głos.

Następnego dnia w okolicy paśnika z sianem spacerowało już kilka par pomimo siarczystego mrozu. Młody Kalina był już z czwartą narzeczoną, taki miał biznes plan.

Sołtys chodził po wsi markotny i rachował; według jego obliczeń wieś mogła w ciągu dziewięciu miesięcy otrzeć się o prawa miejskie.

– Nie martwcie się – pocieszał go stary Marczyk idąc pod rękę z Zośką Kopeć – na pewno zostaniecie burmistrzem, ważne jest, żeby wieś się bogaciła.

Sołtysowi z miejsca poprawił się humor i poszedł obejrzeć stary młyn, który po małych przeróbkach mógłby służyć za ratusz miejski.

Wieczorem kładąc się do łóżka popatrzył się na swoją Jadzię i pomyślał, że tysiąc złotych to stanowczo za mało i usnął czule tuląc poduszkę.

Śnił mu się stary młyn, w którym miał powstać urząd miejski. Wszystko w tym śnie się zgadzało dopóki obrazy nie nabrały ostrości. Sołtys z przerażeniem odczytał tabliczkę na drzwiach młyna i obudził się zlany potem.

– Co ci się śniło? – zapytała go Jadzia – Darłeś się jak opętany.

– Dom dziecka w Maślakach – odparł zdławionym głosem sołtys i już tej nocy nie zasnął.

Następnego dnia postawił przy paśniku z sianem gajowego Nowejkę i kazał mu strzelać do wszystkiego co się rusza.

XXXL

Sędzia Pietruszek Roman miał ciężki orzech do zgryzienia, a orzechem tym była sprawa na wokandzie:

Telekomunikacja kontra wieś Maślaki. Na pierwszy rzut oka była to prosta sprawa, ale tylko na pierwszy rzut oka. Przeglądając opinie biegłego psychiatry, który badał oskarżonych, sędzia miał wrażenie, że czyta charakterystykę dzikiego ludu.

Ostatnie zdanie opinii biegłego głęboko utkwilo rozjemcy pod czaszką: „aspołeczne zachowanie, wstręt do ogólnie przyjętych norm i wzorców, patologia w rozmiarze – XXXL”.

Wszystko zaczęło się od radosnego obwieszczenia wójta o podłączeniu wsi Maślaki do centrali telefonicznej. Czekano na ten moment wiele lat. Telefony zamontowano we wsi w ekspresowym tempie i zaczęło się.

Na początku każdy się cieszył, dokładnie przez miesiąc, do pierwszych rachunków, których i tak nikt nie miał zamiaru zapłacić, a że żaden komornik nie chciał jechać do Maślaków i ryzykować życia, sprawa trafiła do sądu.

Rekordzistą był młody Kalina, okazało się, że dzwonił nawet do Nowego Jorku, tylko nie wiadomo do kogo, bo jak zeznał w sądzie, nikogo z takiej wsi nie zna i znać nie chce. Jak mu wyjaśniono, że telefonował za ocean, do Ameryki, to nawet był z tego dumny, chociaż nie bardzo wierzył w takie cuda techniki.

Sołtys, gajowy i stary Marczyk za pieniądze, które mieli zapłacić za rozmowy telefoniczne na magiczny numer 0700 500 500, mogli by zafundować sobie wycieczkę w kosmos, ale wszyscy trzej szli w zaparte przyznając się jedynie do kilku lokalnych połączeń.

Jedynie rachunek byłego kościelnego opiewał na podejrzenie niską kwotę, ale śledztwo szybko wykazało, że podłą-

czył się na lewo do starej Ludwikowej i rozmawiał na jej koszt.

Większość przysięgała, że nawet nie dotknęła aparatu, bo tylko diabeł może gadać kiedy go nie widać.

– Telefony to takie samo cholerstwo jak elektryka – skarżyła się sędziemu Ludwikowa strasząc go jednym zębem – tylko kopie inaczej.

Sędzia ciągnął rozprawę resztką sił, bo miał emocjonalne podejście do czosnku, którego woń wypełniała salę sądową. Już przy zeznaniu byłego kościelnego pomyślał o masce gazowej. Zaczął też z niechęcią spoglądać na oskarżyciela Telekomunikacji, który niepotrzebnie przedłużał rozprawę. Z pomocą przyszedł mu biegły, który stwierdził, że społeczność wsi Maślaki nie można karać tylko wychowywać. Ta opinia pozwoliła sędziemu zakończyć sprawę.

– A kto zapłaci za rozmowy telefoniczne? – zapytał zrozpaczony przedstawiciel Telekomunikacji.

– Oskarżeni!

– Kiedy? – zapłakał telefoniczny dusigrosz

– A skąd mam wiedzieć? – zdziwił się sędzia – Trzeba poczekać aż dojrzeją społecznie.

– Ten proces może trochę potrwać – odezwał się biegły.

– Długo?

– Zwykle taki proces trwa dwa, trzy pokolenia..

– Aha, jeszcze jedno – przypomniał sobie sędzia – zabraniam złośliwego wyłączania telefonów mieszkańcom wsi Maślaki. Jeśli mają powrócić na łono społeczeństwa, to muszą nad sobą pracować.

– Czyli będą mogli dzwonić za darmo? – nie dowierzał własnym uszom dusigrosz.

– Głuchy pan jest? – odpowiedział pytaniem sędzia i uciekł z sali zatykając nos.

JAK ANTEK ZOSTAŁ KONIEM

– Dawnymi czasy, kiedy nie było traktorów, a konie mieli tylko wielkie paniska, chłop musiał orać w chłopa – tłumaczył sołtys Antkowi Pajdzie przymierzając mu uprząż.

– Albo w babę! – wtrącił stary Marczyk, który wyrósł jak spod ziemi.

– Chłop orał w chłopa! – powtórzył z naciskiem sołtys zakładając Antkowi chomąto.

– I żeby orka szła żwawiej, gryzł go w plecy – dodał znów Marczyk.

– Który którego? – przestraszył się Antek.

– Nie słuchaj go! – zdenerwował się sołtys zaprzęgając Antka do pług.

Obszedł go dookoła, sprawdził postronki i zadowolony z siebie klepnął w plecy.

– Ładny z ciebie konik – pochwalił.

Antek słysząc te słowa znarowił się i oświadczył, że nie pójdzie w pole, jeśli nie przejrzy się w lustrze.

– Skąd ja ci na podwórku lustro znajdę – zniecierpliwili się sołtys – przejrzyj się w studni.

– W studni nie zobaczę pług – upierał się Antek.

– Chłopak ma rację – judził Marczyk.

Rad nie rad sołtys poczłapał do chałupy i przytargał na plecach drzwi od szafy, do których przymocowane było lustro. Antek obejrzał się ze wszystkich stron i kiwnął z aprobatą głową.

– No, to czas w pole! – zawołał sołtys i strzelił z bata.

– Jak mnie będziesz bił batem, to nie pójdę – zastrzegł się Antek.

– Nie będę – obiecał sołtys i ruszyli orać.

Nie przeszli nawet kilku kroków, gdy sołtys złamał obietnicę i przejechał Antka batem po zadzie. Jak się później przyznał, zrobił to z czystej tęsknoty za dawnymi czasami.

– Łza mi się w oku zakręciła, gdy poczułem, że znowu będę orał koniem jak moi przodkowie – tłumaczył towarzystwu pod sklepem.

– Ale Antek się zbiesił i poszeedł w pole! – zauważył złośliwie były kościelny – Nie trzeba było go lać batem!

– Biedny chłopak, pogalopował z całą uprzężą w chomacie na karku – dodał stary Marczyk.

– Ale bez pług! – minimalizował winę sołtys.

– Zgubił go dopiero pod lasem!

– Jak wróci kupię mu cukru w kostkach – obiecywał sołtys.

Ale minęło południe, a Antek Pajda nie wracał. Dopiero od listonosza chłopci dowiedzieli się o jego położeniu.

– Przebiegł mi drogę pod Mariaszkami – relacjonował doręczyciel – myślałem, że mam zwidy wzrokowe od tego waszego samogonu, bo wyglądał jak koń i galopował. Rżał i toczył pianę z pyska, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, czy to koń, czy nie koń, ale jak zaczął żreć trawę...

– Chłopak przejął się rolą i uwierzył, że jest koniem! – zawołał Marczyk.

– Pewnie pasie się teraz na łące pod Mariaszkami – westchnął sołtys – mój konik.

Chłopci doszli do wniosku, że Antek pod wieczór ściagnie pod sklep, do wodopoju, jak to czynił co wieczór i nie mylili się, przygalopował w uprzęży, ale bez chomąta.

– Uwierało mnie w szyję, więc zrzuciłem je nad rzeką podczas pojenia – zameldował sołtysowi.

Antek przyjął od sołtysa na przeprosiny brydżowe opakowanie cukru w kostkach i zastrzegł się, że może być koniem, ale w polu nie będzie pracował.

– Chcę być wolnym mustangiem – dodał, zarżał i pogalopował przez wieś aż się zakurzyło.

– Zazdroszczę mu – rozmarzył się Marczyk – jest wolny jak ptak.

– Przecież to wariat – zawołał listonosz.

– Wariat? – zdziwił się stary – Który wariat jednego dnia z niewolnika staje się wolnym koniem?

– Z moją uprzężą na karku – mruknął sołtys generalnie zgadzając się z Marczykiem, ale nie do końca.

„Po co ja go lałem batem – myślał z żalem – do wieczora miałbym zaorane i zasiane”

MĄDROŚCI LUDOWE I EGZORCYZMY

Dawnymi czasy ludzie byli mądrzejsi, mieli więcej zdrowego rozsądku. Nie musieli uczęszczać do szkół, studiować, robić doktoratów, żeby odróżnić, co jest dla nich dobre a co złe, co mądre a co głupie.

Odróżniali, potrafili odróżniać. Dzisiaj nie ma na tę umiejętność miejsca pod czaszkami. Stary Marczyk twierdzi, że to pokłosie cywilizacji i neguje tezę, że jak człowiek nie idzie z duchem czasu, to się cofa. Niby dokąd zmierza duch naszych czasów i gdzie się ewentualnie cofamy?

We wsi Maślaki wystarczyło, że przez tydzień nie było prądu, a przez to telewizji, radia i telefonów.

Staneły maszyny, lodówki, żelazka, miksery i czajniki.

– Bez prądu jesteśmy jak te sieroty – oświadczył pod sklepem sołtys.

– Jak te głupki wioskowe – dodał bez ogródek stary Marczyk.

– Za dużo człowiek polega na wynalazkach i technice! – stanowczo oświadczył gajowy – Nie ma w sobie pokory, jakby zapomniał, że jest małą trawką na łące, mikroblem w kosmonautyce!

– Cywilizacja! – prychnął z pogardą Marczyk, którego najbardziej wkurzało ciepłe piwo.

– Poprzez rozwój techniki diabeł ma nieograniczony dostęp do ludzkiej duszy! – wtrącił były kościelny, najbardziej biegły w tematach religijnych – Jak nie było elektryki, to co mówiło nasze mądre przysłowie?

– Bogu świeczkę a diabłu ogarek? – zgadywał gajowy.

– Bardzo dobrze! – ucieszył się były kościelny, bo nie bardzo wiedział jak wybrnąć z zaczętego tematu – Wszystkie ludowe przysłowia są więcej warte od całej cybernetyki!

– A reklamy, po co komu reklamy? – zapytał z głupia frant młody Kalina.

– Każde stare, ludowe przysłowie do dzisiaj ma zastosowanie – wrócił do tematu sołtys – na przykład; „baba z wozu, koniom lżej”.

– Albo: „kto rano wstaje, ten leje jak z cebra” – wyrwał się Kalina.

– „Gdzie diabeł nie może, to babę pośle” – licytował się sołtys.

– Właśnie o to chodzi! – ucieszył się były kościelny – O diabła!

Były kościelny bardzo lubił kiedy rozmowa dotyczyła tematów pozaziemskich, gdyż czuł się w tej dziedzinie autorytetem, a szczególnie jeśli chodziło o diabelskie sprawy.

– To, że nie mamy prądu – perorował – nie jest przypadkowe, diabeł nie śpi. Wypości nas kilka godzin i zanim ekipa naprawcza usunie awarię, połowa z nas odda duszę za schłodzone piwo, a druga połowa za serial „Plebania”, dlatego trzeba skutecznie egzorcyzmy! Podejmę się tego na ochotnika za 10 złotych od łebka, ale od młodego Kaliny 20!

– To, że diabeł kręci się po wsi, wiem i bez ciebie – zawołał sołtys – ale że go wygnasz, nie wierzę.

– Widzę go, widzę! – wrzasnął były kościelny.

– Gdzie? – przestraszył się Kalina.

– Fruwa nad głową sołtysa, przemawia jego ustami!

Nikt nic nie widział, ale każdy uwierzył, a sołtys zbladł.

– Ostrzegam, że na kreskę egzorcyzmów nie udzielam – zastrzegł były kościelny – nie mają mocy!

Żeby nie listonosz, były kościelny wzbogaciłby się szybciej niż ojciec dyrektor i zapewne po jakimś czasie w Maślakach powstałaby następna rozgłośnia radiowa.

Doręczyciel nadjechał z wiadomością, że ekipa awaryjna naprawiła transformator i za kilka minut włączą prąd. Wi-
zja schłodzonego piwa przed srebrnym ekranem skutecznie zabiła potrzebę walki z diabłem.

– Szybko naprawili – dziwował się gajowy.

– Zuchy – zgodził się sołtys – w osiem dni się uwinęli!

Życie we wsi powróciło do normy, tylko młody Kalina chodził za byłym kościelnym i żądał wyjaśnień, dlaczego za wypędzenie diabła chciał od niego podwójna stawkę?

STRACH NA WRÓBLE

Sołtys po rozmowie z listonoszem w końcu przemógł się i postanowił złożyć papiery o dotacje unijne.

– Dziwię się wam sołtysie, że nie bierzecie pieniędzy od unii – dręczył go doręczyciel – w innych wsiach koszą forse jak trawę.

– Dotąd nie braliśmy, bo Mariaszki brały – burknął sołtys.

Listonosz wiedział, że Maślaki zawsze robiły na odwrót.

– Ale oni już nie biorą – przekonywał – wzięli już tyle, że więcej im nie dadzą.

– To chytry naród – powątpiewał sołtys.

– To siedźcie dalej na dupach i pijcie na krechę – zeźlił się listonosz.

– Dobrze, niech będzie! – zgodził się sołtys – Ale co nam trzeba zrobić?

– Obsiać pola i wio!

– Ba, obsiać pola – zmarkotniał pierwszy obywatel Maślaków – łatwo ci powiedzieć, urzędnicza twoja mać.

– W każdym bądź razie, coś na tych waszych hektarach musi być – rzucił listonosz i odjechał.

Sołtys popatrzył na zachwaszczone ugory.

– Co tu, kurwa, może wyrosnąć? – zapytał retorycznie i opłuł stracha na wróble.

– Sołtysa pod lasem kopnął w dupę strach na wróble – zameldował pod sklepem Antek – sam widziałem.

Gajowy Nowejko popatrzył z politowaniem na wioskowego głuptaka.

– Ile ty masz lat? – zapytał.

Antek poskrobał się w kudłaty łeb.

– Nie wiem – odparł uczciwie.

– To nie mógł być strach na wróble – mruknął były kościelny – strach na wróble nie kopie w dupę.

– Kopie, sam widziałem! – upierał się Antek – O, właśnie tu idzie!

Na potwierdzenie jego słów na gościńcu pojawił się gość, ubrany w długi płaszcz i czarny kapelusz.

– To przecież Lipniak – zawołał były kościelny – pewnie znów uciekł z więzienia!

Teraz wszyscy się domyślili, kto pod lasem sponiewierał sołtysa. Z daleka Lipniak rzeczywiście przypominał stracha na wróble. Przywitał się z towarzystwem pod sklepem i poczęstował każdego papierosem.

– Ułaskawili mnie – poinformował z dumą.

– A ja myślałem, że znowu dałeś nogę – zmartwił się były kościelny – i będzie na ciebie oblawa. Ledwie cię poznałem.

– Sołtys też mnie nie poznał – chełpił się Lipniak – ale zaraz mu się przypomniałem. Ładny stroik, nie? Zdjąłem go z jednego gościa w miasteczku. Kto dziś stawia?

Młody Kalina chciał powiedzieć, że od tygodnia wszyscy piją na kredyt, ale w tym momencie pod sklep zajechał policyjny radiowóz. Lipniak w ciągu trzech sekund został zakuty w kajdanki i odjechał ze stróżami prawa. Stało się to tak szybko, że chłopci nie zdążyli się zdziwić.

– Wiedziałem, że Lipniak uciekł!- zawołał były kościelny.

– W życiu nie widziałem tak szybkiej akcji – podziwiał gajowy – to jakaś nowa policja.

Policja była stara, ta sama co zwykle, tylko Lipniak miał pecha. Okazało się, że następnego dnia po ułaskawieniu nieszczęśliwie napadł w parku na komendanta policji i pozba-
wił go kapelusza i płaszcza.

Tego samego dnia wieczorem sołtys bardzo lakonicznie podzielił się z chłopami swoimi przemyśleniami ze spaceru po polach.

– Trzeba siać! – zawołał z bólem, jakby mu coś dolegało.

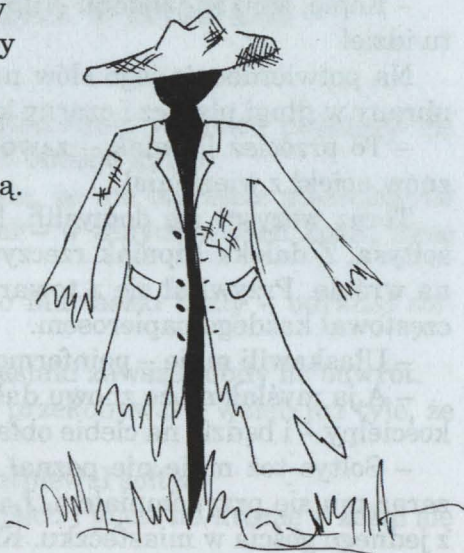
– Ale co? – zapytał młody Kalina.

– Marchewkę.

– To ja będę hodował króliki – zadeklarował Antek.

– Tak jest! – zawołał były kościelny – Zróbcie tu chłopcy drugą Australię!

Nie każdemu podobał się pomysł z hodowlą królików, ale wszyscy byli za Australią.



KOMANDOSI Z MAŚLAKÓW

Antek Pajda dostał powołanie do wojska i to od razu do komandosów. To wydarzenie wzbudziło we wsi wiele komentarzy i opinii. Były kościelny twierdził, że jak wyślą Antka do Iraku, to ten uwolni Saddama, a Amerykanie w ciągu tygodnia się wycofają. Stary Marczyk myślał wręcz odwrotnie. Utrzymywał, że wsparcie sił koalicyjnych w osobie Antka pozwoli zakończyć wojnę w kilka dni i na poparcie swojej tezy przypominał wszystkim jak przyszedł komandos powalił jednym strzałem ostatnią krowę w Maślakach. Młody Kalina poparł go twierdząc, że również w dziedzinie kamuflażu nikt mu w armii nie dorówna, bo jak Antek udawał konia, to sam się nabrał i karmił go marchewką. Natomiast gajowy Nowejko podzielał zdanie byłego kościelnego.

– Nie nadaje się nawet na zwykłego wojaka – stwierdził stanowczo – bo nikogo się nie słucha.

– A kto kogo teraz się słucha? – nie zgodził się sołtys.

– A to zachowanie u psychiatryka po tej strzelaninie do helikoptera? – kłócił się gajowy – Jak się bronił, gdy chcieli mu zdjąć kaftan i błagał, żeby go w nim zostawić?

– Wszystkim nam założyli kaftany, a tylko on z tego się cieszył – przypominał sobie młody Kalina.

– Mądry był! – zawołał Marczyk – Dzięki temu nie wlepili mu kolegium, a nam przypierdolili po równo!

– Listonosz też nie dostał grzywny – przypominał gajowy.

– Dzięki kuzynowi, który był w komisji lekarskiej – warknął sołtys.

– Teraz nie wiadomo, czy lepiej być wariatem czy normalnym obywatelem? – zastanawiał się na głos gajowy.

W trakcie rozmowy do chłopów przysiadł się Antek i zaczął zaznaczając swoją obecność.

– Znowu jestem koniem – oznajmił.

Młody Kalina wyjął z kieszeni kufajki marchewkę i Antek schrubał ją ze smakiem.

– Nie chcę do komandosów – wyjaśnił towarzystwu – chcę do kawalerii.

– Jeszcze będzie sobie jednostki wybierał! – z dezaprobatą pokręcił głową były kościelny.

W tym czasie nadjechał listonosz i chłopci nachmurzyli się. Jeszcze mieli mu za złe, że uniknął kolegium za awanturę z helikopterem.

– Od kiedy to wariat może rozwozić pieniądze i pocztę? – rzucił niby to mimochodem stary Marczyk.

Doręczyciel minął ich bez słowa, wszedł do sklepu, a po chwili wyszedł stawiając przed chłopami skrzynkę wina.

– To na pożegnanie – jęknął z boleścią – jadę do Iraku.

– Nigdzie nie pojedziesz! – dramatycznie rozdarła się sklepowa przez okno – Już moja w tym głowa! Odnieś wino z powrotem!

Doręczyciel posłusznie odniósł wino ku rozpaczycy chłopów.

Dzięki interwencji sklepowej listonosz z Antkiem uniknęli wyjazdu do Iraku, a ich papiery na trwałe uległy zniszczeniu.

– Z drugiej strony jak byśmy pojechali do Iraku całą wsią, to ropy by się nabrało – żałował gajowy.

– I wojnę w tydzień wygrali – puszył się były kościelny.

– Kokosów i bananów by się pojadło – rozmarzył się gajowy.

– A ja bym uwolnił Saddama! – zawołał na przekór wszystkim młody Kalina.

– To ja ciebie pod sąd i kulka w pusty łeb – zeźlił się były kościelny.

– Na pustyni, bez picia nie zdzierżylibyście nawet dnia – uspokoił ich sołtys.

– A co oni tam piją? – zaciekawiał się Antek.

– Wodę – odparł z obrzydzeniem gajowy.

– To niech sobie sami tam wojują! – zawołał młody Kalina, a Antek zarzął na znak aprobaty.

ZAJĄC JANUARY

To, że w wigilię zwierzaki mówią ludzkim głosem, wiedział w Maślakach każdy, nawet były kościelny, który po relegowaniu ze służby na parafii za zawłaszczenie datków utracił częściowo wiarę w cudowne zdarzenia.

Stary Marczyk twierdził, że każdy chociaż raz w życiu musi zostać opierdolony przez zwierzaka, bo od tego zależy równowaga w naturze, a niektórym zdarza się to częściej i podał przykład gajowego Nowejki.

Gajowy absolutnie się z tym zgadzał, często opowiadając pod sklepem o swoich potyczkach z zającem, którego nazwał January na pamiątkę swojego upierdliwego dziadka.

Tego roku, tuż przed wigilią kiedy wrócił z polowania z niczym, wszyscy wiedzieli, że w lesie znów doszło do konfrontacji.

– Spotkałem łobuza – burknął do siedzących pod sklepem chłopów.

Stary Marczyk poklepał go po ramieniu.

– Jak byłem w partyzantce, to miałem przygodę z podobnym draniem – pocieszał gajowego – zaszedł mnie od tyłu, podciął nogę, a jak się przewróciłem, obsikał i uciekł.

– Ta sama technika – mruknął Nowejko.

– Może to ten sam!? – zawołał Antek.

– Zające nie żyją tak długo – odparł były kościelny.

– Ten jest wyjątkowy – nie zgodził się gajowy – duży jak pies softysa i siwy jak moja broda.

– Ale wy nie macie brody – zauważył Antek.

– Przed spotkaniem z Januarym miałem! – zgrzytnął zębami Nowejko.

– A gadał coś, ubliżał? – dopytywał się młody Kalina.

– Tego nie da się powtórzyć.

– Zwierzaki uczą się od ludzi – pokiwał głową Marczyk.

Pod sklepem zapadła cisza. Chłopi myśleli o wigilijnym wieczorze, o tym jak uniknąć konfrontacji ze zwierzyną. W oddali gdzieś zaszczekał pies i wszyscy mieli wrażenie, że to nie było zwykłe ujadanie.

– Szczeka, że nadejdzie dzień sądu dla ludzi – odczytał na głos stary Marczyk i w tym momencie rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Już nadszedł! – wciął się w rozmowę listonosz wyskakując z sypialni sklepowej razem z szybą. Spadł między chłopów, strzepnął z siebie szkło i pognął przez wieś w stronę lasu. Za nim wyskoczył sklepowy z dubeltówką w rękę i żeby nie podciął go stary Marczyk, listonosz niechybnie padł by z jego ręki.

Niedoszłego zabójcę dopadła sklepowa i rozprawiła się z nim tak, że chłopi, choć przywykli do awantur, zasłonili oczy.

– Zwierzęce gadanie w porównaniu z rozzłoszczoną sklepową to pyłek – stwierdził potem stary Marczyk.

– Jeszcze kazała przeprosić listonosza – dziwił się były kościelny.



– W życiu się nie ożenię – wyszeptał przestraszony Antek.

Kilka godzin później listonosz wrócił z lasu zmarznięty i przestraszony. Opowiadał, że napadł go ogromny zając i zanim sponiewierał, palnął mu mowę na temat jego niemoralnego życia.

– Wszystko przez ten wasz samogon – biadolił.

Wieczorem, w dzień wigilii, kiedy na niebie zabłysła pierwsza gwiazdka, nikt w Maślakach nie zapomniał podzielić się opłatkiem ze zwierzętami. Nawet listonosz złamał się symbolicznie z małym wróbelkiem, który przysiadł na jego parapecie.

Wszyscy zgodnie z tradycją mieli przy stołach jedno nakrycie wolne dla niespodziewanego gościa. W Maślakach wierzyli, że zając January może w każdej chwili zawitać do ich domów i sponiewierać na oczach dzieci.

STABILIZATORY I STANDARDY

Echa ostatnich politycznych zawirowań oraz zażarte spory polityków dotarły również pod strzechy Maślaków. Wiele osób nie miało pojęcia, o co w tym całym zamieszaniu chodzi, ale każdy miał swoje zdanie, bo kto by się przyznał, że nie zna się na polityce.

Gwoli prawdy politycy z pierwszych stron gazet też nie mieli zamiaru się do tego przyznawać.

W takiej sytuacji stabilizowanie sceny politycznej było utopią. To tak jakby sklepowa sprzedawała tylko za gotówkę. To było niewyobrażalne, a nawet głupie, chociaż z duchem czasu.

Odkrywcza opinia byłego kościelnego, że w tym zamieszaniu chodzi wyłącznie o władzę, a tym samym o dobro państwa, wzbudziły powszechną wesołość, a Marczyk nazwał go podwójnym baranem.

Były kościelny zażądał publicznych przeprosin, ale sołtys zbeształ go za pałacowe fanaberie i uznał, że określenie użyte przez Marczyka nie odbiega od norm i standardów parlamentarnej etykiety.

Takie rozstrzygnięcie wzbudziło podziw nawet u listonosza, który był najbardziej czytany dzięki codziennej lekturze listów i urzędowej korespondencji, a oblicze młodego Kaliny rozjaśniło się jak słońce, bo dotarło do niego, że nawet w codziennych kłótniach z ziomkami wyraża się parlamentarnie.

Tylko gajowy Nowejko mruknął coś pod nosem o telewizyjnym bełkocie.

– A czy można parlamentarnie dać komuś w pysk? – rozsuchwalił się młody Kalina.

– Można – odpowiedział po krótkim namyśle sołtys.

– Przy świadkach?

– Jeśli ma się parlamentarną większość, to można łać w mordę nawet przy świadkach – uśmiechnął się z wyższością sołtys.

– Ale oni tylko się wyzywają – zawołał z pretensją gajowy – a kilka rozbitych nosów i parę guzów na rozpalonych łbach oczyściło by atmosferę.

– Zwykle mordobicie bywa zbawienne – zgodził się były kościelny – dlatego i u nas sołtysie czas zrobić zabawę, nadpsutej krwi upuścić.

Towarzystwo trochę się zafrasowało, bo na wsi nadal ciążył sądowy zakaz organizowania jakichkolwiek uciech po ostatnich dożynkach, podczas których dożynkowy wieniec dziwnym trafem wylądował na głowie przedstawiciela z województwa i urzędnik odjechał karetką na sygnale.

– Patriotycznym obowiązkiem jest złamać sądowy zakaz – obieścił sołtys – dobro narodu jest najważniejsze, tak mówi konstytucja.

Antek Pajda, który ze względu na trwałą kontuzję głowy rzadko zabierał głos, zapytał się, czy konstytucja wyjątkowo

zezwoili mu na puszczenie z dymem sterty słomy pod Mariaszkami, żeby utrwalić stabilizację między dwoma wsiami.

Sołtys wyraził zgodę zaznaczając, że bardzo ceni sobie każdą obywatelską inicjatywę zmierzającą w dobrym dla wsi kierunku.

– Twoje dobro dobrem twojej wsi! – pouczył społeczeństwo po sklepie i rozkazał czynić przygotowania do zabawy.

Wieczorem zapłonęła pod Mariaszkami sterta słomy, a w remizie strażackiej w Maślakach przy skocznych melodiach odchodziły dzikie tańce. Samogon lał się strumieniami i naród wziął się za bary z otaczającą go rzeczywistością w taki sposób na jaki zasługiwała. Złą krew toczono do białego rana dopóki wycieńczone zabiegiem organizmy nie opadły z sił.

Następnego dnia wieś jakby nabrała blasku i ludzie zdawali się bardziej przyjaźni niż zwykle. Kwiat narodu spotkał się pod sklepie i mimo fizycznych uchybień w przyjaznej atmosferze konsumowano piwo. Stary Marczyk nawet chwalił sobie utratę ostatniego zęba, którego od dłuższego czasu bezskutecznie próbował usunąć, a młody Kalina postanowił w końcu ściąć długie kudły, których część stracił w boju i wyglądał jak potomek Irokezów.

– Mam nadzieję – zaseplenił sołtys przez opuchnięte usta – że nasze poświęcenie nie pójdzie na marne i inni obywatele wezmą z nas przykład.

– W Mariaszkach już się na nas szykują za tę podpaloną stertę słomy – zameldował Antek.

– Bardzo dobrze! – ucieszył się sołtys i rozmarzył.

Wyobrażał sobie jak zarzewie odnowy, upuszczania złej krwi opanowuje wieś za wsią, miasto za miastem i dociera do stolicy na sejmowe ławy. A wszyscy pytają kto, kto jest tym mężem opatrnościowym, który wpadł na pomysł jak podźwignąć kraj z niebytu?

Chłopi pili piwo gwarząc po przyjacielsku, kiedy niczym Hiob, zwiastun złych wieści, pod sklep zajechał listonosz.

– Mariaszki oddały sprawę do sądu i wezwały redaktorów, odgrają się, że puszcza was z torbami! – zameldował uśmiechając się głupkowato – Mówią, że cały kraj przekazuje sobie znak pokoju, a wy tylko judzicie do niezgody. Jakiś poseł strasznie na was w radiu psioczył i groził klątwą!

Sołtys zarechotał, były kościelny pogardliwie splunął, a gajowemu odbiło się samogonem. To chyba wystarczyło za komentarz do relacji listonosza.

– Trzeba znowu ogłosić niepodległość i oddzielić plewy od ziarna – mruknął stary Marczyk wściekle tocząc oczami.

– Nie ma wyjścia – zgodził się sołtys – flagę mamy, hymn także, a słupy graniczne zaraz się wystruga.

– Ustawodawca nie przewidział, że ludzie na szczycie władzy mogą popełniać głupoty i nie ma na nich bata – powiedział były kościelny.

Powyższe zdanie zapamiętał z telewizyjnego programu, którego co prawda nie obejrzał w całości ze względu na awarię aparatury (wyciek zacieru), ale trzeba przyznać, wiernie je zacytował. Reszta jest milczeniem.

SZWAGIER KAZIK

Nikt nie lubi niespodziewanych wizyt, nawet jeśli odwiedzają nas ludzie, których lubimy i dobrze znamy.

Prawdziwym nieszczęściem są goście z daleka, szczególnie krewni, zwykle takie odwiedziny przeciągają się w nieskończoność. Przyjeżdżają zazwyczaj z zaskoczenia, wczesnym rankiem w niedzielę, żeby gospodarz przypadkiem nie wyspał się i na samym początku odczuł ciężar gatunkowy wizyty. Rzucają się na niego w samym progu, obściskując i obcałowując, żeby zgłupiał do szczętu i cieszył się razem z nimi, tylko z czego?

To pytanie zadał sobie sołtys, kiedy w niedzielny poranek odwiedził go szwagier Kazik ze Śląska wraz z synkiem.

Zanim sołtys oprzytomniał goście otrzepali śnieg z palto-
tów i władowali się w mokrych buciorach na pokoje.

– Ale ci się chłopie powodzi! – zawołał szwagier wycmo-
kawszy sołtysa – Żeby spać do południa!

Była siódma rano, ale sołtys zbaraniał do szczętu i tylko uśmiechał się głupkowato.

– Zobacz, synku – zwrócił się szwagier do pyzatego ośmio-
latka – jaki z twojego wuja ancymon, w brudnych kaleso-
nach nas wita.

Sołtys szybko wciągnął portki i skoczył budzić Jadzię.

– Twój brat przyjechał – poinformował małżonkę budząc
ją brutalnie.

– Kazio przyjechał? – ucieszyła się Jadzia, aż sołtysa za-
kuło w okolicy serca.

Wyskoczyła szybko z łóżka i pobiegła przywitać się z ro-
dziną. Harmider zrobił się w chałupie nieziemski i sołtysowi
wydało się przez chwilę, że jest na dworcu kolejowym w Ko-
luszках.

– Szybko was nie wypuszcze – paplała Jadzia ściskając
Adaśka – tak się za wami stęskniłam!

– Posiedzimy u was tylko tydzień, siostro – poinformował
z żalem szwagier.

Sołtysem zachwiało.

– Albo dwa tygodnie – zaseplenił Adaśko, żeby przypo-
dobać się cioci.

– To wspaniale! – klasnęła w dłonie Jadzia – Jak ty
ładnie Adasiu seplenisz!

– Jestem głodny, ciociu – poskarżył się chłopczyk.

Sołtys już, już otwierał okno, żeby dać nogę na wieś, gdy
doleciał go wrzask małżonki, z którego wyłowił swoje imię
i kilka wyzwisk.

– Jak ty przyjmujesz gości? – zapytała chłodno, gdy poja-
wił się w kuchni.

Sołtys w dalszym ciągu przeżywał kryzys, bo wyciągnął z kredensu butelkę samogonu i postawił na stole.

– Widzicie, co ja z nim mam? – poskarżyła się Jadzia – Od samego rana myśli tylko o jednym!

– Oj Janek, Janek – karcącym tonem odezwał się szwagier – już na waszym weselu czułem, że się stoczysz.

Kiwając z ubolewaniem głową odkorkował butelkę, zatknął nos i łyknął z udawanym obrzydzeniem.

– Usmaż Jadzia jajek na boczku – odezwał się polubownie – i podaj szklanki, okazja przecież jest.

– A jakże, a jakże – przytaknęła radośnie Jadzia i zakrzętała się przy kuchni.

W pierwszej chwili chciała demonstracyjnie postawić na stole dwie szklanki, dla brata i siebie, ale na szczęście wrócił jej rozsądek i postawiła trzecią.

Podczas śniadania szwagier pochwalił samogon i sołtysowi wrócił dobry nastrój.

– Co u ciebie słysząc, Kaziu? – zapytała Jadzia, gdy wszyscy zdrowo pojeśli.

– Na kopalni już nie robię, za wyprawkę kupiłem auto i zainwestowałem w warsztat samochodowy – z dumą odpowiedział szwagier.

– Starczyło na auto i warsztat? – zdziwił się sołtys.

– Mamy Toyotę Kalolę – zaseplenił Adaś

– Corrolę – poprawił go ojciec – japończyk!

– Stoi przed domem? – ożywił się sołtys.

– Nee – skrzywił się Kazik – przyjechaliśmy autobusem.

– A pewnie, że tak lepiej – prychnęła Jadzia – bezpieczniej!

– Tata nie ma plawa jazdy – zdradził Adaś – zablali mu.

– Kto zabrał? – tym razem zgłupiała Jadzia.

– Biskup – zemścił się sołtys.

– To ja już nic nie rozumiem – załamała ręce Jadzia.

– Za to wy, rolnicy macie teraz lepiej! – sprytnie zmienił temat Kazik przepijając do sołtysa – Nieźle się urządziliście!

Dopłaty do ziemi bierzecie i nic was nie obchodzi! Całe życie na świeżym powietrzu, w zimę leżycie do góry dupą, a na wiosnę gęby do słońca wystawiacie i patrzycie jak wam zboże rośnie.

– Ja nie biorę dopłat – mruknął sołtys.

– Widzisz Kaziu, z kim ja muszę dzielić łóżko? – zajęczała Jadzia.

Sołtysa znów zakuło w okolicach serca.

– Głupi, czy co? – oburzył się Kazik – No, głupi!

– Głupi wujek, głupi – spodobało się Adasiowi – Ciociu, jestem znowu głodny!

– Nikt w Maślakach dopłat nie bierze! – zawołał sołtys – I brał nie będzie, bo za darmo nic nie ma!

Kazik walnął pięścią w stół.

– To my górnicy walczyliśmy o godne życie dla was i robotników, a ty teraz okoniem się stawiasz? Taki z ciebie patriota?

– O swoje walczyliście! – zeźlił się sołtys.

– Nie politykuj, bo się na tym nie znasz! Jak dają, to się bierz! A jak nie dają, to się jedzie do stolicy i bierze same-mu! Oj głuptaku, głuptaku, to jest właśnie polityka!

– Innemu zabrać i nieswoje dawać, to każdy potrafi, wielka mi polityka! – odciął się sołtys, ale że miał dobre wychowanie, to nie kontynuował tematu.

Wyjął z kredensu drugą butelkę licząc po cichu, że szwagier rychło zwali się pod stół.

– Ciociu, chce jeszcze jeść – znowu zawołał Adaś.

Sołtys przyjrzał się uważnie chłopcu, który połykał jedzenie jak gąsior gałki i pomimo puciołowatej buzi mizerny był jak postny śledź.

– Chce dziesięć klomek chleba ze smalcem – poprosił malca.

Sołtys pomyślał, że Adaś na pewno ma współnika w postaci jakiegoś robaka.

– Pójdę do sklepu po chleb – odezwał się wykorzystując sytuację, by odetchnąć od gości.

– Idź, może sklepowej coś zostało – zgodziła się Jadzia – tylko nie przepadnij!

– Nie martw się siostra! – zawołał Kazik – Pójdę z ancy-monem i go przypilnuję, bo czuję, że mój szwagier chce się na piwko wyrwać. Już na waszym weselu wiedziałem, że tak będzie!

Sołtys ubierał się, a w tym czasie Adaś ściągnął z choinki kilkuletnie cukierki i schrupał je jak koń marchew. Jadzia z przerażeniem patrzyła na bratanka, kiedy z rozpędu ułamał świerkową gałązkę i zeżarł ją z uschniętym jabłkiem.

„Nie będę musiał wynosić choinki – pocieszył się sołtys – zanim wrócę zeżre ją z ozdóbkami”. Ledwo wyszli na dwór szwagrem zaczęło bujać jak marynarzem podczas sztormu. Za nic nie mógł utrzymać pionu. Samogon zadziałał zgodnie z swoim przeznaczeniem.

– Wróć się, Kazik do chałupy – poradził sołtys.

– A przyniesiesz piwo? – zabełkotał Kazik, co znaczyło, że paraliżowało mu już głowę.

– Przyniosę.

– Przysięgnij.

Sołtys uroczyście przysiągł i szwagier wycofał się do chałupy ostatkiem sił, na czworaka.

Ze względu na mróz towarzystwo w sklepie siedziało na skrzynkach z piwem i rozprawiało na temat roli państwa w życiu zwykłego obywatela. Młody Kalina narzekał na kolejną propozycję pracy z urzędu zatrudnienia.

– Trzeci raz mnie wzywają, żebym wziął robotę, tym razem w jajczarni – skarżył się – a przecież konstytucja zabrania zmuszania do pracy, gdzie tu wolność?

– Wytwórnia musztardy też ci nie pasowała – zauważył były kościelny.

– I tartak – dodał stary Marczyk.

– On po prostu nie lubi pracować – skwitował sołtys.

– To prawda – przyznał szczerze młody Kalina.

– Ma niechęć do wysiłku fizycznego, bo o umysłowym szkoda gadać, ale gwarantuje mu to demokratyczny ustrój – podsumował Marczyk – po złotówkę to on się nie schyli!

– Po złotówkę to nie, ale po dwa złote to owszem – odparł po namyśle młody Kalina.

– I co państwo ma z takiego cymbała?! – zdenerwował się były kościelny.

– A co ja mam z państwa? – zaperzył się Kalina.

– A pić i jeść trzeba – mruknął gajowy.

– Szczególnie pić – mruknął Kalina – bez jedzenia mogę wytrzymać nawet tydzień.

– Tak po prawdzie, to Kalina ma dużo racji, nasze państwo jest z obywatelem na bakier – zgodził się Marczyk.

– Każdy o tym wie – mruknął sołtys.

– To dlaczego tak jest, jeśli wszyscy o tym wiedzą? – zdziwił się młody Kalina.

– Zapytaj mojego szwagra – westchnął sołtys – ale dopiero wieczorem jak samogon z niego wyparuje.

– To ten, co dwa lata temu nabrał na krechę i prysnął? – zapytała groźnie sklepowa.

– Nie, to ten drugi, Kazik.

– A co się z tamtym łobuzem dzieje? – drażyła sklepowa – Za takim to tylko list gończy puścić!

– Starostą go wybrali, nad morzem.

– To i morza zaraz ubędzie!

Sołtys wzruszył ramionami, wziął chleby i poczłapał do domu.

– Szkoda mi go! – odezwał się Marczyk – Ten Kazik ze Śląska kilka lat temu zadymił na zabawie w Mariaszkach i dał nogę. Ledwo z sołtysem uszliśmy z życiem! Niech to chudy byk takich szwagrów mieć!

Sołtys przyniósł chleb w samą porę, bo Adaś ogołocił choinkę z cukierków i z rosnącym zainteresowaniem wodził wzrokiem za kotem. Kazik spał w małżeńskim łóżu kwicząc

przez nos jak zarzynany wieprzek, a Jadźka rozmrażała schab na obiad.

– Jadę w odwiedziny! – zdecydował sołtys.

– Do kogo? – przestraszyła się małżonka.

– Do Krakowa, do siostry, stęskniłem się!

– A co powie Kazio jak się obudzi?

– Powiedz mu, że to polityka, na pewno zrozumie.

Złapał portki na zmianę, dwie butle samogonu i tyle było go widać. Może nieładnie postąpił, ale innego zdania był stary Marczyk, który z radością zgodził się przechować go przez tydzień albo i dwa.

PRZEPOWIEDNIA

Do wsi przyleciały bociany i sołtys wybrał się nad staw, żeby poobserwować ptaszyska w akcji. Lubił patrzeć jak krążą nad dachami i zalecają do siebie klekocząc jakby chciały podzielić się swoją radością z ludźmi. Sołtys usiadł na pniu i patrzył z zachwytem na dwie pary kołujące nad stawem. Było to miłe zajęcie, więc po chwili przyłączył się do niego młody Kalina. I tak siedzieli we dwóch nic do siebie nie mówiąc, wystawiając blade twarze do słońca, nie tracąc z oczu ptaków.

– Coś tu nie gra – przerwał milczenie młody Kalina – dziwne te bociany, jakby nie nasze.

– Co w nich dziwnego? – wzruszył ramionami sołtys – Bocię to bocię.

– Zawsze walczyły ze sobą, przeganiały się, a tego roku polują w zgodzie!

– No tak – zgodził się sołtys – chodzą obok siebie w najlepszej przyjaźni.

– Nie podoba mi się to – pokręcił głową młody Kalina – oj, nie podoba.

– A niby czemu?

– To zły znak.

– Ptaszyska zmadrzały i to wszystko – odparł sołtys – po co mają się bić skoro jedzenia starczy na dwie rodziny.

– To wbrew naturze – uparcie twierdził Kalina.

– Nie porównuj ptaków do ludzi!

– Mówię ci, to nie nasze bociany!

– A niby czyje?

– Może niemieckie?

Sołtys podniósł się z pieńka, aby bliżej przyjrzeć się brodzącym po rozlewisku ptakom.

– Rzeczywiście jakieś dziwne – stwierdził wyraźnie zaniepokojony.

– Niemieckie?!

– Durny, czy co? Skąd mam wiedzieć? Na moje oko i nosa to są cztery samce!

– Bzdura! – nie zgodził się młody Kalina – Samce by się biły!

– O co, jak nie ma samic?

– Och, ty w mordę! – zawołał zaaferowany Kalina – Czterech facetów!

– Była taka przepowiednia we filmie, że chłop z chłopem spać będzie a baba z babą, ale żeby ptaszyska?! – zagrzemiał sołtys.

– Ale bociany miały pływać, a wilki fruwać! – przypomniał sobie Kalina.

– A będą, zobaczysz, przepowiednia to nie byle słowo na wiatr rzucone!

Kalina spojrzał w niebo jakby spodziewał się zobaczyć fruwającego wilka.

– Co jeszcze mówiła przepowiednia? – zapytał ze strachem.

– Rządy upadną i zapanuje na ziemi chaos!

– Nasz rząd też?
– Wszystkie! – zdecydowanie odparł sołtys – Nie będzie sądów i policji! Zapanuje anarchia!

– Coś tak posmutniał? – zdziwił się Kalina.

– Szkoda mi naszego rządu – wyznał szczerze sołtys – tyle dobrego obiecuje.

– Już dobry rok obiecuje, niech się o to nasz proboszcz martwi! Ty mi lepiej powiedz, kiedy ta anarchia będzie?

– Tego nie wiem.

Kalina zawiedziony przegonił bociany znad stawu i poszedł postraszyć wizją anarchii posterunkowego Sosenkę.

– Wyskoczysz z tego munduru, a twoimi mandatami wytapetuje sobie wychodek – mądrył się wymachując mu przed nosem paluchem.

– Co się stało? – wystraszył się Sosenko przekonany, że ktoś doniósł na niego do dowództwa za to, że w czasie akcji „Trzeźwość” rozbił po pijaku rower.

– A to, że niedługo wilki fruwać będą, a policję rozwiążą – bardzo skrótowo objaśnił Kalina przepowiednię.

– Nie pij tego samogonu od sołtysa – poradził życzliwie Sosenko – i nie machaj mi przed oczami brudnym paluchem, bo ci go złamię.

– Jeszcze zobaczymy, kto komu przypierdoli, jak rządy upadną i bociany pływać będą – zawołał Kalina za odchodzącym posterunkowym i pogroził mu, ale już z bezpiecznej odległości.

Miesiąc później w dwóch bocianich gniazdach wykluły się młode i przepowiednia sołtysa o nadejściu anarchii wzięła w łeb.

Za to młody Kalina znalazł się w matni, nie dość, że narobił sobie wrogów strasząc we wsi czystką kiedy zabraknie policji i sądów, to nabrał jak głupi na kredyt, licząc po cichu, że sklep upadnie razem z rządem.

KOSMICZNE JAJA

Dzień był pochmurny i parny. Od rana mieszkańcy Maślaków odczuwali wzmożone pragnienie i większą niż zwykle niechęć do roboty. Ciężkie chmury nad wsią zdawały się przygniatać ludzi do ziemi i wydobywać z nich jak najgorsze instynkty. Działo się coś złego!

Wszyscy chodzili jednym rytmem powoli i ospale jakby mieli ołowiane ciężarki w tyłkach.

Sołtys wlaźł w wiadro z zacierem i tak spacerował po obejściu dopóki się nie potknął wyzynając łbem o chlew. Leżąc na ziemi zlizywał zacier wespół z parką różowych prosiaków baraszkujących po obejściu.

Młody Kalina nawet nie wstał z łóżka, podłączył się przez plastikową rurkę do gąsiora z winem i szybował po niebycie.

Gajowy Nowejko kierowany instynktem myśliwego wystrzelił w ciemne niebo jakby czuł, że za chmurami czai się coś złego, ale zanim powtórnie przeładował broń, jakaś siła nieczysta wyrwała mu ją i obaliła w krzaki.

Były kościelny, który od czasu relegowania z parafii mocno zaniedbał religijne praktyki, leżał w samych kalesonach przed figurką Świętego Antoniego i błagał o przedział w czyścisku dla palących.

Listonosza pokręciło w chińskie osiem, że nie wiadomo było gdzie zaczyna się jego rower a gdzie kończy sam listonosz.

Posterunkowy Sosenko, który pierwszy zobaczył latający spodek, trząsł się jak galareta i kręcił dookoła własnej osi jak bączek.

I stało się! Obcy wylądowali w środku wsi, w samo południe i z miejsca udali się do sklepu. Skąd wiedzieli, że to najważniejszy ośrodek opiniotwórczy w Maślakach? Cholera wie, widocznie mieli doskonały wywiad.

Było ich dwóch i emanowała z nich nieziemska moc. Kopniakami otworzyli drzwi do sklepu i to ich zgubiło! Ich wywiad na pewno pominął istnienie sklepowej.

W jednej sekundzie wszystko się odmieniło, niebo pojaśniało, wyszło słońce, a mieszkańcom wsi powróciły siły i stanęły całą gromadą pod sklepem jakby ściągnął ich tu niewidzialny magnes.

Wtedy wyszła sklepowa w poplamionym krwią fartuchu i oznajmiła narodowi, że po krótkiej i nierównej walce uwięziła w komórce na węgiel dwóch kosmicznych przybłędów.

– Zabierzcie ich z moich oczu, bo im jeszcze jakie krzywdę zrobię – zawołała dramatycznie.

Sołtys w asyście prosiaków na lekkim rauszu wywlekł kosmitów na podwórze.

Obcy wyglądali fatalnie, jeden miał podbite oka, a drugi naderwane ucho, obaj równo rozkwasszone nosy.

– Po jakimu mówią? – zapytał sołtys.

– Próbowałam po naszymu, ale nie rozumieją – rozłożyła ręce sklepowa.

– Gawaricie pa ruski? – zagadał do obcych sołtys.

– Da! – ucieszył się ufok z naderwanym uchem.

– To mordy w kubeł i paszli w pizdu, job waszu kosmicznaju mać – wrzasnął sołtys i w asyście prosiaków odprowadził kosmitów do spodka, w którym zdążył się już usadowić młody Kalina.

– Zapytaj ich, jak się tym lata? – zawołał do sołtysa.

– Wylaż z maszyny! – zażądał sołtys.

– A gówno, niech zasuważą na piechotę!

– W kosmos na piechotę? Wylaż z maszyny!

Młody Kalina ociągając się wylażł ze spodka ze świecącym drążkiem w ręku.

– Ułamało się – mruknął zdejmując jednemu z kosmitów nakrycie głowy przypominające hełmofon – na cholerę ci w środku lata czapka?

Obcym udało się wystartować pomimo brakującego drażka i hełmofonu, co z rozczarowaniem przyjął Kalina licząc po cichu na falstart. Najbardziej wkurzył się stary Marczyk, który tego dnia od rana sprawdzał wnyki w lesie i był nieobecny podczas całego zamieszania.

– Nie mogliście ich zatrzymać do mojego powrotu? – rzucał się z pretensją.

– A po co? – zdziwił się sołtys.

– Podczas okupacji dwóch niebieskich z antenkami na łbach wylądowali pod lasem i łomot mi taki sprawili, że do dzisiaj pamiętam! Pepeszę mi zabrali i rower! Może to ci sami?

– Rower? – krzyknął z rozpaczą listonosz – Gdzie mój rower?

– To ci sami! – zżymał się Marczyk.

– A gdzie moje prosiaki? – zawołał z kolei sołtys.

Na szczęście rower i prosiaki to były jedyne straty.

Rower rzeczywiście został przez obcych skradziony jako „novum technicum”, ale prosiaki wskoczyły do spodka dobrowolnie, na ochotnika.

– To na pewno pierwsze świny w kosmosie – zauważył były kościelny – powinniście sołtysie być z tego dumni.

Ale sołtys nie był dumny tylko wściekły i odgrażał się, że jak jeszcze raz wylądują, to im powybijają galaktyczne zęby.

– Maciej Góra z Mariaszek opowiadał, że kiedyś jeden taki niebieski wylądował na ich chlewie i grał z nim i synem w karty, ale za oszukiwanie zamknęli go w piwnicy – opowiadał listonosz – za wolność obiecał podać im numery do totolotka i te durnie uwolnili go przed losowaniem, nawet trójki nie mieli.

– Ludzie z Mariaszek zawsze mieli we łbie siano – skwitował Marczyk.

W tym czasie młody Kalina bawiąc się świecącym drażkiem dotknął żdźbła trawy i odkrył, że urosło o kilka centymetrów. Spróbował na butelce wina, ale trunku nie przy-

było, potem na złotówce, ale moneta ani drgnęła choć liczył po cichu na rozmnożenie.

Doszedł do wniosku, że drążek działa tylko na żywych ustrojach i przytknął go do swojego psa i nie mylił się, kundel urósł w kwadrans do rozmiarów cielaka.

Kalina przezornie obserwował psa z gałęzi drzewa, bo nie był pewien, czy wraz ze wzrostem nie zmieni mu się charakter.

Później wpadło mu do łba, żeby dotknąć siebie, ale przedtem tracił drążkiem jabłoni, na której siedział i w mgnieniu oka znalazł się kilka pięter wyżej. Wychylił się, żeby zobaczyć jak wysoko się znajduje, w tym momencie nadleciał spodek i metalowa łapa brutalnie wciągnęła go do środka maszyny.

Młodego Kaliny nie było tydzień, a kiedy wrócił, był nie do poznania.

Greczny, spokojny, unikał alkoholu, uczynny. Chodził na spacer i nie żałował nikomu dobrego słowa. Starą Ludwikową przestrzegł przed złodziejami, kiedy wieszała w ogrodzie pranie, ale ona tylko przeżegnała się na jego widok i schowała w domu. Sottysowi chciał pomóc przy naprawie płotu, ale ten przegonił go, gdy dowiedział się, że jego prosiaki nauczyły się w kosmosie mówić i przekazały, że nie wrócą bo wiedzą już, po co je tuczył.

Wszyscy go omijali, nikt we wsi mu nie ufał, każdy tak naprawdę wolał Kalinę sprzed najazdu kosmitów. Raz zaczął go listonosz i zapytał czy widział jego rower.

– Widziałem mnóstwo rowerów, tysiące – odparł grzecznie Kalina – oni mają tam muzeum rowerów.

– Złodzieje! – warknął listonosz i przejechał go pompką po nerkach.

Według Marczyka młody Kalina był już stracony dla społeczeństwa, ale na szczęście podczas burzy kulisty piorun odmienił wszystko na dobre. Rąbnął w chłopaka i ten odblokował się. Kiedy następnego dnia pod sklepem mądrzył się i szantażował byłego kościelnego, wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Kosmici zdradzili mi tajemnicę – straszył go, gdy ten nie chciał postawić mu piwa – jak zamienić alkohol w wodę. Jednym spojrzeniem mogę to zrobić!

Oczywiście były kościelny szybko poleciał po piwo, bo do końca nie był pewien, czy drań takiej mocy nie posiada. Wiadomo było, że ma jeszcze kosmiczny hełmofon, który gdzieś ukrył i kto wie na co go było stać?!

DZIKI NARÓD

Dzień był nieszczególny, niby słońeczko grzało, ptaszki śpiewały, ale w powietrzu zanosilo się na rychłą zmianę pogody. Wieś wyglądała jak wymarła, jedynie pod sklepem widać było oznaki życia, chociaż i tu towarzystwo było szczególnie wrażliwe na ciśnieniowe skoki.

– Tylko patrzeć jak od wschodu przygna burzę – zagaił gajowy Nowejko ziewając z taka mocą, że siedzący obok sołtys zobaczył jego sfatygowaną wątrobę.

– A gdzie jest wschód? – zaciekał się Antek, który po zderzeniu z kopytem konia nie odróżniał kierunków.

– Tam gdzie Indie – odparł rzeczowo były kościelny.

– Wschód jest na wschodzie – poparł go gajowy.

– A zachód na zachodzie! – podkreślił sołtys.

– Słyszałem, że najlepiej jest na południowym południu – wtrącił młody Kalina.

– No, nie bardzo – zaoponował były kościelny – ja bym nie chciał.

– Dlaczego? – zdziwił się Kalina i zaczął wyliczać- Ciepło jest przez cały rok, wszędzie rosną arbuzy i pije się gorzałkę z małą parasolką w środku..

– Z parasolką w środku? – nieładnie przerwał gajowy – A po cholere?

– Żeby wódka nie wyparowała – domyślił się sołtys.

– Tam nie piją wódki – sprostował Kalina – tylko drinki, też gnie do ziemi, ale bardziej znieńcka. Pijesz sobie spokojnie, rozmawiasz, pijesz i nagle łubudu, gleba! Najlepiej jest na południowym południu!

– A węże i inne choroby? – nie ustępował były kościelny.

– A lwy i pantery? – wyliczał gajowy.

– Strzelasz do nich dla rozrywki! – zawołał Kalina i uśmiechając się brzydko dodał konfidencko – Do czarnego też można wygarnąć niby przez pomyłkę. Latają po prerii i same się o to proszą, dziki naród.

– Tak było w średniowieczu! – zaprotestował były kościelny – Teraz panuje tam demokracja i czarni są na równi z białymi i spróbuj teraz nazwać Murzyna Murzynem!

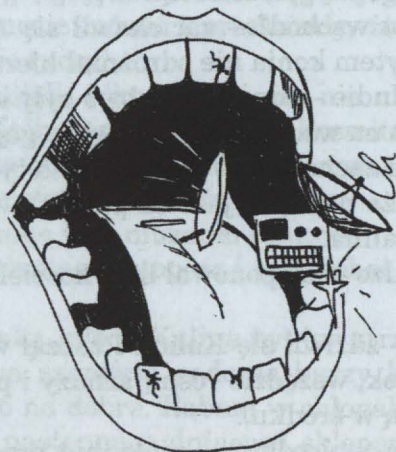
– To co?

– To pójdziesz do pierdła!

– Za co? – zdziwił się Kalina.

– Za użyczenie – wyjaśnił cierpliwie były kościelny – to jest rasizm.

Kalina nie zrozumiał, ale się nie przyznał.



– Murzyni są bardzo przewrażliwieni – zauważył gajowy – weźmy tego doktora z Afryki, co praktykował w gminnej przychodni zdrowia, nawet tygodnia nie wytrzymał.

– A ty byś wytrzymał jakby cię na każdym kroku stare baby żegnały kropidłem i polewały święconą wodą?

– A co by było, jakby czarnego księdza przysłali? – zastanowił się na głos Kalina.

Nikt nie miał takiej wyobraźni i pytanie uznano za retoryczne.

– Ja tam wolę klimaty północne – zmienił temat Antek – mróz jest zdrowszy.

– Ślady zwierzyny są na śniegu wyraźniejsze – ożywił się gajowy – wódka nie wietrzeje i przyjaźniejsza jest, nie wali zdradziecko o głebę. Wolę też poć wędzonej słoniny od arbuza!

– Mróz wam przyjaźniejszy od ciepła? – niedowierzał młody Kalina – Słonina smaczniejsza od arbuza?

Spór o to, która strona świata jest bardziej przyjaźniejsza, rozwijałby się w najlepsze, gdyby z lasu nie wyszedł człowiek przypominający Robinsona Crusoe po kilkuletnim pobycie na wyspie.

Brodę miał do pasa i obdarty był tak niemiłosiernie, że tylko czapka uszanka przypominała czapkę, reszta była luźno powiewającymi skrawkami materiału.

– Ale mu kapitalizm dopierdolił – zagwizdał z podziwem młody Kalina – Mogli by go na ulotkach reklamowych pokazywać.

– Ty kto? – zapytał z niechęcią były kościelny wyczuwając, że przybysz nie śmierdzi groszem.

Obdartus wyprostował się i zaszlochał:

– Nie poznajecie mnie?

– Jurand ze Spychowa? – zażartował były kościelny.

– Nie oglądacie telewizji!? – zdziwił się przybłęda.

– Dajcie mu szklankę! – zarządził gajowy – Jest okazja!

– Daleko do granicy? – zapytał obdartus rozglądając się dookoła jak ścigane zwierzę.

Młody Kalina nalał mu bimbru i przyjacielsko klepnął w plecy.

– Wolność słowa, co? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo przybysz łyknał i natychmiast przewrócił się na wznak.

– To już trzeci w tym tygodniu – zmartwił się Kalina – i żaden na nogach nie ustał.

– Słabi ci dziennikarze – ocenił gajowy – albo bimber jeszcze za mocny.

– Rozcieńczam go i rozcieńczam – bronił się były kościelny.

– To ten biedaczysko, co prowadził polityczne debaty – powiedział Kalina przyglądając się leżącemu.

– Ten sam – przytaknął gajowy.

Chłopi troskliwie ułożyli uciekiniera na ławce i przepili do siebie.

– Pewnie jest na tego mądrąłę list gończy i nagroda – odezwał się sołtys.

– Jutro przerzucę go przez granicę – zapewnił gajowy i westchnął z troską – bimber wciąż za mocny.

– Idzie burza – ziewnął były kościelny.

Młody Kalina niechcący zajrzał mu do środka i zobaczył tam miniaturową radiostację, a obok złotego zęba radar.

„Jesteśmy otoczeni” – pomyślał, a w duchu postanowił sobie, że przy najbliższej okazji zabawi się z byłym kościelnym w dentystę.

TOTALNA KRYTYKA

Sołtys od dłuższego czasu był w podłym nastroju i wszystko poddawał totalnej krytyce, obojętnie co by to nie było. Zamiast relaksować się, chociażby spacerem po ogrodach, podsycił swoje niezadowolenie przesiadując całymi godzinami przed telewizorem i kłócił się z nim aż do obrazu kontrolnego.

Nie było programu, do którego by sołtys nie wtrącił swoich trzech groszy, zakpił czy wprost wyśmiał.

Zdarzało się, że bezwzględnie ubliżał politykom, publicystom i aktorom bez względu na wyznanie, kolor skóry czy orientacje polityczne.

Najbardziej pastwił się nad serialami i programami kulinarnymi.

– Widziałas jakiś magik?! – pytał się żony, kiedy prze-mądrzały kuchmistrz w dziesięć minut z niczego zrobił obiad dla tuzina osób.

Wtedy zmieniał kanał i trafiał na serial, w którym przystojny doktor przyszywał na poczekaniu rękę, a godzinę później grał w drugim serialu policjanta, a w trzecim bandziora.

Najgorzej było kiedy trafiał na debatę z udziałem, jak to nazywał, „mądrologów”.

„Mądrologiem” mógł być każdy, na przykład profesor prawa, który przekonywał sołtysa, że żyje w demokratycznym państwie i każdy jest człowiekiem, nawet kanibal Hannibal, dziennikarz, który ze wstrętnym uśmiechem na twarzy twierdził, że prawda nie ma twarzy i wielu innych z tytułami, których sołtys wrzucał do jednego worka.

Politycznych debat nawet nie oglądał, twierdząc, że adwersarze godzą się tylko w jednej kwestii – immunitetów i diet.

Nawet programy rozrywkowe doprowadzały go do szału. Twierdził, że nie bawi go, jak za jego pieniądze bawią się inni, po drugiej stronie ekranu.

– Jak by mnie tam zaprosili, to i owszem – tłumaczył pod sklepem pobratymcom.

– A do jakiego programu? – zaciekawiał się młody Kalina.

– A chociażby do „Tańczących Gwiazd”!

– A jaka z sołtysa gwiazda? – zdziwił się młody Kalina.

– A kto tam jest gwiazdą? – pytał wściekle sołtys

Nikt nie próbował przekonać sołtysa, że nie ma racji, bo każdy czuł, że ją ma, tylko nie rozumieli dlaczego tak się dzieje.

– Telewizja jest jak reklama – tłumaczył sołtys – pierze mózgi bez namaczania.

– Każda telewizja? – zapytał podchwytliwie były kościelny,

– Każda! – wrzasnął sołtys – Twoja też!

Były kościelny stulił uszy, bo wiedział, że lepiej z sołtysem w takim nerwowym stanie nie zaczynać.

– Który z was płaci abonament? – zapytał sołtys przewracając wściekle oczami.

Okazało się, że nikt nie płaci i obyło się bez mordobicia.

– Tylko spróbujcie dać im chociaż złotówkę! – pogroził sołtys i poszedł do chałupy na transmisję z meczu piłki nożnej.

– Jak nasi zdobędą mistrzostwo Europy, to będziemy płacić! – krzyknął jeszcze na całą wieś i zatrzasnął drzwi chałupy.

– Czyli nigdy – podsumował były kościelny.

– Po co on tę telewizję ogląda skoro jej tak nienawidzi? – dziwił się młody Kalina.

– A ty pijesz bimber? – zapytał stary Marczyk.

– Piję!

– I dostajesz po tym zajoba?

– Dostaję – uśmiechnął się Kalina.

– No widzisz, z sołtysem jest tak samo.

IDYLLA MALEŃKA TAKA...

True story

Kacper Polaczek, mieszkaniec wsi Maślaki, żył sobie spokojnie w harmonii z naturą i otaczająca go rzeczywistością. Skromny, z nałogami w normie, niczym specjalnie się nie wyróżniał. Nigdy jednak nie wiadomo, co drzemie w ukryciu, w nawet tak przeciętnym obywatelu. Nikt w Maślakach nigdy by nie przypuszczał, że Kacpra stać na czyny wręcz bohaterskie. Oczywiście, jak to w demokracji a szczególnie na wsi, niektórzy twierdzili, że to najzwyczajniejszy w świecie jest idiota.

A wszystko zaczęło się od publicznej telewizji, którą stary Marczyk porównuje do bakterii i zaleca oglądać tylko po samogonie. Kacper o tym zapomniał i pewnego dnia zasiadł przed telewizorem o suchym pysku. Obejrzał audycję „Unia bez tajemnic” i jego wewnętrzny spokój został zmałowany. Długo w nocy nie mógł usnąć i myślał, co było niewątpliwie jedyną wątpliwą zasługą telewizji. Rano wstał odmieniony, pełen werwy, naładowany pozytywną energią. Bakteria zaczęła działać. Wyciągnął spod siennika oszczędności, ubrał się w kościolowe ubranie, uszykował rower i popedałował do powiatu, do Agencji Rolniczej, by złożyć wniosek o dotacje unijne.

Świeżo upieczony euroentuzjasta, po obejrzeniu audycji wpadł na pomysł założenia gospodarstwa agroturystycznego.

Jechał na skróty, leśnymi duktami, polnymi ścieżkami, w deszcz i słońce, wciąż na przód, do celu. W powiecie doznał pierwszego rozczarowania, agencja owszem przyjmowała wszelkiej maści wnioski, tylko nie na agroturystykę.

– Musi pan jechać do agencji wojewódzkiej – poinformowała go uprzejmie młoda urzędniczka.

Ujmująca postawa dziewczyny z okienka ogłupiła Kacpra do szczytu, bo wszedł w autobus i pojechał do województwa. Na miejscu Kacper żałował, że nie wziął ze sobą roweru, bo jak poinformował go kierowca autobusu, siedziba agencji położona była za miastem, pomiędzy przystankami.

– Jedź pan taksówką – poradził mu kierowca – i udawaj miastowego.

– Dlaczego? – zdziwił się Kacper.

– Chcesz pan jeździć po mieście do wieczora?

Kacper zrozumiał.

– I zdejmij pan z głowy ten moherowy beret!

Kacper schował beret do teczki, podziękował i ruszył na postój taksówek.

– Jestem z miasta – poinformował taksówkarza i podał mu adres agencji.

– To widać i słychać – zgodził się taksówkarz i pojechali.

W dwadzieścia minut byli na miejscu.

Agencja Rolnictwa i czegoś tam jeszcze, to nie był byle jaki barak, ale kompleks budynków ze szkła i marmuru. Kacper stojąc przed głównymi drzwiami pomyślał, że tu musi być kasa i z nadzieją wszedł do środka. Myślał, biedny idiota, że wystarczy napisać podanie, złożyć je w okienku i będzie po sprawie. Myślał, że załatwi sprawę w 10 minut i nawet nie zwalniał taksówki, ale okazało się, że cała procedura, ogrom druków i zaświadczeń przerosły jego wyobraźnię.

W pierwszym odruchu chciał wracać, zrezygnować i zaprawić się w najbliższej knajpie, ale diabeł nie spał i zderzył go przy informacji z panem X.

– Jestem specjalistą do spraw pozyskiwania funduszy unijnych – przedstawił się X – w czym mogę pomóc? – zapytał z troską widząc rozpacz Kacpra.

Przez całe życie, w żadnym urzędzie nikt nie zaoferował Kacprowi pomocy, więc otworzył przed nieznajomym swoje serce.

– Chciałbym założyć gospodarstwo agroturystyczne – wyznał otwarcie.

Specjalista bardzo pochwalił jego zamiar i zaprosił do bufetu na herbatę.

– Miał pan szczęście, że wpadł na mnie – skłamał nieznanymy – od lat zajmuję się unijnymi sprawami i musi pan wiedzieć, że jestem bardzo skuteczny. Dużo od pana nie wezmę, ale coś muszę, to zrozumiałe, resztę zapłaci mi pan jak otrzyma pieniądze z Agencji, zgoda? Podpisujemy umowę?

– Ma pan druki? Nie wziął pan? Zaraz przyniosę, proszę poczekać.

Specjalista rzeczywiście był skuteczny, bo Kacper podpisał z nim umowę dosłownie „na kolanie”.

Umówili się za trzy tygodnie, przez ten czas Kacper miał załatwić zaświadczenia z urzędów niezbędne do złożenia wniosku, zrobić mapki oraz kosztorysy, a pan X opisać i wypełnić skomplikowane formularze.

– Zaświadczenie z urzędów ważne są tylko miesiąc – instruował fachowiec podając mu listę życzeń – dlatego proszę się uwijać.

– ZUS, KRUS – czytał na głos Kacper – Urząd Skarbowy, Urząd Gminy, Księgi Wieczyste, Urząd Zatrudnienia, Inspektor wbn...

– Tak jest! – przerwał znudzony pan X i zażartował – Potrafi pan czytać, bierzmy się do roboty! Aha, jeszcze zaliczka!

Kacper zostawił sobie kilka złotych na powrót do domu i panowie rozstali się niezwłocznie w myśl porzekadła, że czas to pieniądz. W drodze powrotnej różne nieuczesane myśli targały jego duszą, ale już na miejscu przechodząc obok sklepu był już do końca przekonany o słuszności swojej decyzji. Wieś żyła swoim rytmem: młody Kalina leżał już pod ławką, były kościelny trzymał się płotu, stary Marczyk byłego kościelnego, a nad stawem gajowy z Antkiem łowili ryby prądem z transformatora. Kacper zamknął na chwilę

oczy i zobaczył piękny ogród wokół swojego domu, wybieg dla konika, altankę, w której goście z miasta zajądają pierogi ulepione przez małżonkę, stary spichlerz przerobiony na pokoje gościnne i siebie samego strzygącego żywopłot.

Przez kilka następnych dni Kacper dwoił się i troił, jeździł po urzędach rozrzuconych dzięki reformom administracyjnym po całym województwie i zbierał dokumenty. Obliczył, że za opłaty i znaczki skarbowe, które musiał przykleić na każde zaświadczenie, mógłby kupić krowę, ale nic to, ważna była przyszłość.

Pierwszą przeprawę miał w urzędzie skarbowym. Okazało się, że nie istnieje w ewidencji.

– Komputer się nie myli – mądrył się urzędnik – nie mam takiego w spisie.

– Przecież stoję przed panem – bronił się Kacper pokazując dowód osobisty.

– No tak, to rzeczywiście pan, dziwne – stropił się urzędnik, ale tylko na chwilę – ładnie to tak uchylać się od płacenia podatków?

– Chcę tylko zaświadczenie – zaskamlał Kacper.

– Następny! – zażartował urzędnik – Jak ja mogę wystawić takie zaświadczenie, kiedy pan nie płaci podatków?

– Ten pan na pewno jest rolnikiem – odkryła stojąca w kolejce dziewczyna.

– No to co?

– No to domyśl się pan! – burknął gruby biznesmen z kolejki.

Urzędnik przez dobrą minutę domyślał się.

– Wszystko jasne! – zawołał jakby odkrył coś niezwykłego – Rolnik!

Do KRUS-u jeździł dwa razy z powodu absencji urzędnika zajmującego się wystawianiem zaświadczeń. Facet musiał być w tej czynności niezastąpiony, bo nikt inny nie chciał Kacpra obsłużyć. Dopiero jak „gwiazdor” wrócił z urlopu, Kacper ucałował z radości wymagane od Agencji potwierdzenie o niezaleganiu ze składkami.

(pozwolą państwo, że w dalszej części tekstu wyraz agencja będę pisał z małej litery, oczywiście z braku szacunku)

– Jeszcze chciałbym pismo stwierdzające, że nie pobieram renty albo emerytury – poprosił Kacper.

– A pobiera pan?! – warknął urzędnik. (nazwę krus też będę pisał z małej litery)

– Nie, ale agencja żąda takiego pisma.

– Zaświadczenie o opłacaniu u nas składek jest wystarczającym dowodem, że nie jest pan rencistą lub emerytem, co za matoly siedzą w tej agencji, do widzenia!

Zaiste było to logiczne wytłumaczenie i cięta riposta.

Oszczędzę państwu relacji z wizyt Kacpra w pozostałych urzędach z powodów czysto humanitarnych.

W każdym bądź razie z pozyskanych zaświadczeń Kacper dowiedział się o sobie sporo ważnych i dobrych rzeczy. Nigdzie nie zalegał ze składkami i nie miał długów, jednym słowem był obywatelem na medal.

Pozostała tylko jedna nie załatwiona sprawa, spotkanie z inspektorem kategoryzacyjnym wbn.

(Kacper do dzisiaj nie dowiedział się co znaczy skrót wbn, ja też nie, pisownia obowiązkowo z małej litery)

Zahartowany już w bojach Kacper nie pękał, pomimo że najbliższy inspektor z listy podanej przez agencję mieszkał ponad sto kilometrów od Maślaków.

Rozdział specjalny pod tytułem: „Podkuwanie Żaby”

Inspektor był miłym człowiekiem i przyjął Kacpra częstując kawą chociaż adekwatne byłoby relanium.

– Cieszę się, że chce pan zwiększyć swoje dochody dodatkową działalnością – odezwał się na samym wstępie – wiadomo, że teraz z samej pracy na roli...

Tu zawiesił głos czekając zapewne na inicjatywę Kacpra, który by zakończył zdanie, ale się nie doczekał.

– Na pierwszym spotkaniu wypełni pan formularz...

– Na pierwszym spotkaniu? – wyjąkał Kacper rozlewając kawę.

– Z tych dokumentów, które pan przywiózł wynika, że jesteśmy daleko w lesie – wesoło odparł Inspektor (ze względu na życzliwość wobec Kacpra piszemy z dużej litery) – ale proszę się nie martwić, wszystko panu wytłumaczę i pomogę wypełnić część formularzy, za jednym posiedzeniem nie damy rady i będzie pan musiał odwiedzić mnie jeszcze raz. Wprowadzę pana w sedno sprawy raz, dwa. Stowarzyszenie nasze wspiera i przyczynia się do rozwoju agroturystyki w regionie, ale naszym głównym celem jest podnoszenie jakości usług świadczonych przez właścicieli gospodarstw, w tym przypadku pana – tu Inspektor uśmiechnął się ciepło.

– Moi zadaniem jest dopilnować, oczywiście bezpłatnie, czy pana wniosek jest prawidłowy i czy spełnia standardy do kategoryzacji pana placówki usługowej. Specjalna komisja oceni ile gwiazdek otrzyma pana gospodarstwo i za jedyne 600 złotych umieścimy je w przewodniku turystycznym. Wspaniała rzecz, prawda? Z dokumentów widzę, że chce pan adoptować stary spichlerz, w którym pomieści się według pana co najmniej 6 osób, ale nasze normy mówią trochę inaczej, bo na każdy metr kwadratowy.

Nie będę państwa męczył wywodami Inspektora, powiem tylko tyle, że Kacper po powrocie do domu mógłby zostać skategoryzowany, bo nieźle dzwoniło mu we łbie (głowa by nie wytrzymała). Oczyma wyobraźni widział trzy gwiazdki na swoim spichlerzu. Zaiste był to niezwykły widok! Jednak posłusznie według wskazówek wypełniał rubryczki, w których między innymi musiał wpisać rozmiary łóżek, ilość mydelniczek, pościeli, ręczników, taboretów, chodniczków, wieszaków itp., itd... Powtórnie wezwał geodetę, który wykonał mu kilka rzutów spichlerza oraz od nowa wymierzył działkę. Mieszek z oszczędnościami kurczył się jak jego właściciel.

– Bardzo ładnie – pochwalił go Inspektor, gdy Kacper ponownie się u niego zjawił – Dostanie pan od agencji 10 tysięcy złotych, kupę forsy, co?

– 20 tysięcy – poprawił go Kacper.

– 10 tysięcy! – powtórzył z naciskiem Inspektor – Drugie 10 musi pan wyłożyć sam!

– Jak to?

– Wniosek opiewa na 20 tysięcy, tak? – zniecierpliwił się Inspektor – Zrealizuje pan cały projekt na tą sumę ze swoich funduszy, a później połowę zwróci panu agencja, czyli 10 tysięcy! Ostrzegam, żeby ściśle trzymać się harmonogramu robót, bo jak zgłosi pan zakończenie inwestycji, przyjedzie komisja i zakwestionuje realizację jako niezgodną z projektem, to nie dostanie pan grosza.

Inspektor z należytą powagą podstemplował każdą kartkę wniosku i pożegnał Kacpra życząc mu szczerze „tłumu turystów pod strzechą oraz trzech gwiazdek”.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że w tym momencie Kacper stracił wiarę w celowość swojego przedsięwzięcia i w dobre intencje państwa.

Na spotkanie z panem X i agencją Kacper jechał tylko dlatego, że żał mu było zawracać w połowie drogi, nie mówiąc o wysiłku i wydanych pieniądzech. Wiary w siebie już nie miał.

Pan X przejrzał zgromadzone przez Kacpra dokumenty, zagwizdał z podziwu, dołączył swój opis do wniosku i uroczyście złożyli go w biurze za pokwitowaniem.

– Widziałeś pan tego gościa na schodach? – zagaił Kacpra pan X.

– Tego co płakał?

Pan X kiwnął głową.

– Nie miał wszystkich zaświadczeń i odesłali go z kwitkiem.

– Ale ja miałem? – upewnił się Kacper.

– Jak najbardziej!

– Za dwa miesiące dostanę odpowiedź – westchnął Kacper – boję się.

Pan X już chciał powiedzieć, że zwykle to trwa dwa razy dłużej, ale ugryzł się w język, bo polubił Kacpra.

– Będzie dobrze – mruknął i zaprosił go na obiad.

„Świadomy Obywatel”

Minęło dwa miesiące, Kacper na próżno wypatrywał listonosza, odpowiedzi z agencji nie było.

W międzyczasie obliczył, że zanim złożył wniosek, dał zarobić geodecie, architektowi, rzeczoznawcy, panu X i kilku instytucjom z PKS na czele. Całe oszczędności poszły w dia-bły.

„A co będzie jak przyznają mi dotacje, skąd wezmę 10 tysięcy?” – myślał ze strachem.

Pytania mnożyły się w głowie Kacpra, ale nie znajdował na nie odpowiedzi.

„A co będzie jak wybuduję za pożyczone, a komisja uzna, że są uchybienia i nie wypłaci?”

Coraz bardziej był przekonany, że cały szum przy dotacjach to niezły interes dla wszystkich tylko nie dla niego, był na końcu przewodu pokarmowego.

Minęło trzy miesiące, a odpowiedzi nie było. Kacper pozwolił zapominać o wniosku, a nawet cieszył się w duchu, że agencja o nim zapomniała.

Ale nie zapomniała! Pierwszy dowiedział się jak zwykle listonosz, po porannym przeglądzie poczty i od razu zajechał pod sklep i zameldował towarzystwu:

– Kacper pisał do unii o dotacje!

Towarzystwo ze zdumienia oniemiało.

– Ale mu odmówili! – dodał rozładowując atmosferę.

– To całe szczęście – odetchnął sołtys – szkoda byłoby chłopca.

– Co mu strzeliło do łba? – dziwił się były kościelny – Wygląda na normalnego.

– Niejeden w telewizorze wygląda na normalnego, ale jak się odezwie, to od razu widać, że mu w łepetyźnie ktoś grzebał – odezwał się stary Marczyk.

– Jadę mu to zawieźć – zakomunikował listonosz i pojechał.

Chłopi w milczeniu pili piwo czekając na Kacpra. Wiedzieli, że w końcu przyjdzie pod sklep.

Godzinę później Kacper był tak pijany, że nie mógł ustać na nogach i musiał konwersować na siedząco.

– Nie będę się odwoływał! – przysięgał sołtysowi bijąc się w piersi – Nareszcie jestem wolny! Cztery miesiące dręczyłem się, umartwiałem, a oni dali mi dwa tygodnie na poprawienie wniosku, piętnaście punktów, wszystko od nowa!

– Ciesz się Kacper, że ci tych gruszek na wierzbie nie dali! – pocieszał go sołtys.

– Tyle udręki, tyle udręki – chlpał Kacper.

– Dopiero teraz do niego dotarło, że to wszystko lipa – mruknął stary Marczyk.

– Sam się do nich zgłosił! – złośliwie zawołał młody Kalina.

– Młody jeszcze jest – odparł Marczyk – na polityce się nie zna.

– Tak – zgodził się sołtys – wpadł Kacper w tryby wielkiej polityki i o mały włos nie został zmiażdżony.

Tydzień później do wsi przyjechał pan X i miał nieszczęście zapytać się pod sklepem w obecności sołtysa i gajowego o adres Kacpra. Sołtys upewniwszy się, że facet ma bezpośredni związek z przygodą unijną Kacpra, wydał gajowemu rozkaz. Zanim rozległ się ostrzegający strzał, pan X siedział już w samochodzie i zapuszczał silnik.

– Szybki był – opowiadał później gajowy – jakby czuł pismo nosem.

– A na mojego nosa – ocenił sołtys – nie pierwszy raz uciekał.

– Szkoda, że nie było młodego Kaliny – żałował gajowy – na pewno by go dogonił i zabrał mu auto.

Gajowy miał rację, bowiem młody Kalina od maleńkości zawzięty był na motoryzację.

Zapytacie się państwo, co z Kacprem? Nie odpowiem, nie uważacie, że po tym wszystkim należy mu się święty spokój? A jeśli już ktoś tak bardzo chce się z nim zobaczyć, to proszę bardzo.

Codziennie możecie go spotkać pod sklepem w towarzystwie prawdziwych przyjaciół.

Znalazł swoje miejsce na ziemi, przyjazne i bezpieczne.

A jeśli ktoś w tę historię nie wierzy, niech złoży wniosek o cokolwiek albo włączy telewizor i sobie go posłucha, bo na nic więcej nie zasługuje.

EXPRES EDUKATION

Sołtys przyszedł pod sklep uśmiechając się niby żartobliwie, ale usta miał zaciśnięte i mściwie mrużył oczy.

– Ale żeście głosowali! – warknął do pijących piwo chłopów i byłego kościelnego – Barany!

Młody Kalina pił już trzecią dobę, ale duchem był jeszcze w sądzie, gdzie zasądzono mu potrójne alimenty, które znacznie przerosły jego dochody z becikowego, więc rzucił wściekle sołtysowi w twarz.

– I tak się nie ożenię!

Po czym stracił przytomność i spadł z ławeczki.

– Nooo? – kontynuował sołtys wiercąc wzrokiem chłopów.

Były kościelny odsunął się od małorolnych jakby chciał podkreślić swoją odrębność, ale też nie bardzo wiedział o co pierwszy obywatel w Maślakach ma pretensje.

– Nareszcie się ciemniaki doigraliście – mruknął w ciemno solidaryzując się z sołtysem.

Ale żaden ciemniak nie wiedział o co chodzi i wszyscy, wyłączając młodego Kalinę, gapili się na sołtysa i znaki zapytania mnożyły się na ich zarosniętych pyskach.

– Jakiś matoł z rządu dał mi poza kolejnością maturę! – sprecyzował pretensje sołtys.

– To tak można? – zainteresował się stary Marczyk.

Z sołtysa uszło powietrze, zgarbił się jakby mu nagle przybyło lat.

– Na studia nawet się dostałem z urzędu – chlpał i usiadł na miejsce przy młodym Kalinie, którego chłopci rzucili pod płot – objęli mnie amnestią, taki wstyd, taki wstyd...

– Toż ty nawet nie masz podstawówki – zdziwił się Marczyk, a były kościelny tylko nerwowo zasapał z oburzenia.

– Doktoraty będą jeszcze rozdawać – wściekał się i zzywał.

Nadjechał listonosz i jakby chciał byłego kościelnego dobić oznajmił, że jemu też zaliczyli egzamin maturalny, który oblał w 73 roku i będzie się ubiegał o stanowisko dyrektora poczty w powiecie.

– Będę się też kształcił na wyższej uczelni w kierunku zarządzania – dodał z dumą odbierając byłemu kościelnemu ochotę do życia – torbę na listy mam pełną zawiadomień z ministerstwa edukacji o przyznanych maturach za ostatnie 40 lat, nawet młody Kalina zdał...

Stary Marczyk pomyślał, że po takich edukacyjnych przemianach wieś zniknie z map.

– Zlituj się Boże – zapiszczał były kościelny.

– Amen – zakończył sołtys i przeżegnał się mimo czasowego rozbratu z kościołem na tle ostrego sporu z plebanem na temat ordynacji do wyborów samorządowych i renesansu instytucji inkwizycji przy gminnym ośrodku kultury.

– Do was też mam pismo – pocieszył byłego kościelnego listonosz, żeby ten przestał się mazać.

– Z ministerstwa? – zapytał z nadzieją.

– A skąd mam wiedzieć? – skłamał doręczyciel i dodał usługę – Piszą jedynie, że możecie składać papiery na dyplomację na toruńską uczelnię ...

Wieczorem były kościelny mizdrzył się przed lustrem trzydrzwiowej szafy przepasany żółto-niebieską szarfą i godzinami stroił głupie miny aż dostał skurczy. Ćwiczył etykietę i bon ton, jakie obowiązywały na dyplomatycznych placówkach. Tak przynajmniej mu się wydawało.

Młody Kalina ocknął się dopiero w nocy, kiedy zimno i chłodna rosa orzeźwiły jego wycieńczony organizm. Orzeźwiły, ale nie wytrzeźwiły, więc idąc do domu przez wieś śpiewał jak to dobrze od czasu do czasu wykorzystać zdrową, ale głupią dziewczuchę i opić to wydarzenie owocowym winem pod sklepem.

Młody Kalina nie wiedział, że ma maturę, jakby wiedział, to może zaśpiewał by coś innego, coś z klasą.

CO DZIEDZICZY SIĘ PO PRZODKACH

Stary Marczyk po wizycie w ośrodku zdrowia chodził po wsi zamyślony i nieswój dopóki nie wdepnął w krowie gówno. „Skąd w Maślakach krowie gówno?” medytował, aż trafił pod sklep, pod którym urzędował sołtys z młodym Kaliną.

– Całe życie sądziłem, że swędzenie pomiędzy palcami odziedziczyłem po przodkach – zwierzył się chłopom stary Marczyk – a tu okazuje się, że to nieprawda!

– Jak to możliwe? – zdziwił się sołtys.

– Doktórka powiedziała mi, że jak będę mył codziennie nogi, to swędzenie zniknie!

– Codziennie!? – ponownie zdziwił się sołtys – W tej samej wodzie?

– Tego nie wiem.

Stary Marczyk skrzywił się, jakby pani doktor kazała mu jeszcze po pielęgnacji wypić z miski wodę.

– A ja odziedziczyłem po przodkach niechęć do roboty – wyznał szczerze młody Kalina.

„Skąd w Maślakach krowie gówno?” myślał uporczywie stary Marczyk.

– Z niechęcią do roboty rodzi się każdy, bez względu na przodków! – zawołał sołtys – Jak od maleńkości nie przyuczysz, to każdy będzie leniwy.

– A mało to razy dziadzio z ojcem leli mnie przez łeb, a i tak wszystko z rąk mi leciało i nijak robota nie szła, no chyba że po winie! – deliberował Kalina.

– To prawda, że twój dziadek bez wina w pole nie wychodził! – przyznał sołtys – Taki doping musiał mieć!

– No i ja po nim to odziedziczyłem!

– Ty jako następne pokolenie poszedłeś dalej! – zakpił Marczyk – Pijesz wino, ale w pole już nie wychodzisz!

– Ziemia musi odpocząć – odciął się Kalina – i akurat trafiło na moje gospodarzenie.

Pod sklep przybiegli byli kościelny przerywając dyskusję, ale nikt nie mógł go zrozumieć, gdyż bełkotał niemiłosiernie.

– Znowu założyłeś odwrotnie protezy! – wrzasnął mu w twarz sołtys i dopiero gdy ten dokonał zamiany góry z dołem, zebrani dowiedzieli się, że po wsi chodzi krowa.

„Czyli dobrze zgadłem, że to krowie gówno” – ucieszył się w myślach Marczyk.

– Skąd u nas krowa? – zapytał z dzikim błyskiem w oku sołtys.

Takie same mordercze błyski ukazały się w oczach pozostałych.

– Przyszła sama – mruknął sołtys.

– Nieproszona – podjął szeptem Kalina – Nie wiadomo skąd i od kogo.

– Jeszcze jaką zarazę po wsi rozwlecze! – zagrzemiał były kościelny, a zabrzmiało to jak wyrok.

Następnego dnia do sołtysa przyjechała policja z ludźmi z Mariaszek, którzy twierdzili, że zginęła im krowa, a ślady zwierzęcia urywają się w Maślakach.

Sołtys oderwany od obiadu, od wołowego gulaszu, nie ukrywał złego humoru, ale grzecznie zeznał, że owszem widział krowę jak szła przez wieś, ale gdzie poszła to nie wie, bo się jej nie pytał dokąd zmierza.

Policjanci chcieli zrobić przeszukanie, ale właściciele dobrze odczytali zapachy dobiegające z kuchni sołtysa i machnęli ręką.

– Już po naszej krasuli, dopadła ją ludzka nienawiść, z dziada pradziada dziedziczona do nas w Maślakach.

Z tą tezą nie zgodziłby się nikt rozsądny, bowiem los krowy zależał od niej samej, mogła przecież ominąć Maślaki.

Grunť, że nie była żyłasta.

WOLNA EUROPA

Młody Kalina przyszedł pod sklep wygolony na tyso w pożyczonej bluzie od dresu i z miejsca zaatakował pobratymców.

– Co wy tak, kurwa, obojętnie siedzicie? – ryknął ze szczera rozpaczą.

– A co się stało? – zapytał były kościelny ze strachem.

– Polska przegrała! – zawołał Kalina.

– A o co grali? – zaciekawil się sołtys.

– Jak to? – zadziwił się Kalina – To wy nie wiecie?

Cisz zapadła pod sklepem i konsternacja.

– Przegraliśmy w nogę! – zżymał się Kalina

– A o co grali? – nie ustępował sołtys.

– O gówno! – nie wytrzymał Kalina.

– To i dobrze, że przegrali!

Młody Kalina poszedł na wieś wymachując rękami jakby opadł go rój os.

– O co ten rwetes? – dziwił się były kościelny – Cały ten szum z piłką nożną przypomina mi ordynarną propagandę z minionej epoki.

– A mnie się zdaje, że ta epoka jeszcze nie odeszła! – parsknął sołtys.

– Liczy się tylko wiara w zwycięstwo – wyszeptał były kościelny.

– Jak tak cię słucham, to tęsknię za radiem „Wolna Europa” – mruknął stary Marczyk.

– Jest teraz lepsze! – zacietrzewił się były kościelny.

– E tam – zaoponował Marczyk – sto stacji nadaje w tym kraju i chuj wie o co chodzi, jedna a dobra wystarczyłaby w zupełności.

– „Nie płacz kiedy odjadę” – zanucił niespodziewanie były kościelny jakby za czymś nagle zatęsknił.

– To Niemen? – zapytał stary Marczyk.

– Jurek Połomski – wtrącił sołtys.

– Zgadza się – odparł były kościelny.

Chłopi siedzieli w milczeniu pogrążeni w myślach, przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Zza chmur wyłonił się księżyc i bladą poświatą przykrył wieś.

– Mówię wam, oni go jeszcze raz ukradną – westchnął sołtys wskazując palcem srebrny glob.

– Ależ przecież nic dwa razy się nie zdarza! – zaprotestował były kościelny.

– Nie ukradną go – pokręcił głową stary Marczyk.

– Pewnie, że nie! – ucieszył się były kościelny – To porządni goście!

– Oni go tylko zlustrować, a przynajmniej jego ciemną stronę – dokończył Marczyk – i zobaczycie, że w końcu całkowicie wyemigruje.

– Kto, księżyc? – rozdziawił japę były kościelny.

– My, naród! – zakończył dyskusję sołtys.

SKRÓTY MYŚLOWE

Kiedy młody Kalina usłyszał, że jego kuzyn z Mariaszek, zdrajca i odszczepieniec, wrócił z Irlandii Mercedesem, stracił mowę. Odzyskał ją dopiero po wypiciu szklanki spirytusu.

– Toż to rozbój w biały dzień! – parsknął.

– Co on tam robił? – oburzył się stary Marczyk i splunął z obrzydzeniem.

Były kościelny oblał się rumieńcem i spuścił oczy jakby miał coś z tym wspólnego.

Listonosz, który przywiózł tę wiadomość, wzruszył tylko ramionami.

– Nie wiem co robił, ale wiem, że auto jest bomba!

Młody Kalina roześmiał się nerwowo.

– Bomba to dopiero spadnie na samochód, na pewno go ukradł!

– Nie ukradł! – stanowczo zaprzeczył listonosz.

Były kościelny pozbył się rumieńca i w swoim stylu włączył do dyskusji.

– Może pożyczył.

– Mercedesa? – oburzył się Marczyk, chociaż pomyślał, że to możliwe i znów splunął.

Zebrani dopuszczali każdą możliwość oprócz jednej, że kuzyn młodego Kaliny kupił auto legalnie za zarobione uczciwie pieniądze.

– Jak twój kuzyn będzie przejeżdżał przez Maślaki, natychmiast skonfiskuję mu auto – pocieszał Kalinę posterunkowy Sosenko.

Była to marna pociecha, bo każdy wiedział, że nikt o zdrowym umyśle do Maślaków bez asysty policji nie wjedzie.

– Za dwa miesiące roboty zarobił na Mercedesa – utyskiwał z niedowierzaniem Kalina.

– Pierwszy raz go widzę w takiej rozpacz – odezwał się były kościelny, kiedy Kalina nierównym krokiem powlókł się do domu.

– To nie widzieliście go podczas słynnego uprowadzenia walca drogowego – zawołał stary Marczyk – cała Polska o tym pisała. Gdy go wywlekali z pojazdu, to płakał jak dzieciaki Pajdów przed śniadaniem, taki zawzięty jest na motoryzację.

– Byłem wtedy w szpitalu – mruknął były kościelny i na samo wspomnienie łza zakręciła mu się w oku – nigdy tego nie zapomnę, jak mi pijany chirurg nogę chciał upiłować motorową piłą.

– Młody Kalina też był na bani jak walcę pożyczył, żeby do domu się szybciej dostać, złapali go dopiero za miasteczkiem, ponoć setką pruć.

Stary Marczyk wyczuł, że przesadził i uznał za stosowne poprawić swoją relację.

– Osiemdziesiątką jechał, ale zygzakiem.

Następnego dnia rozeszło się po wsi, że z Irlandii do Mariaszek wrócili następni obywatele i to każdy porządnym autem. Listonosz zaczął po ludzku niepokoić się o los sąsiedniej wsi.

Powiatowa straż pożarna postawiona została na nogi i była w ciągłym pogotowiu.

Nikt nie miał złudzeń, że czara goryczy została przelana.

– Prowokują nas tym bogactwem, oj prowokują! – złorzeczył sołtys – I państwo się na to godzi!

– Państwo ma nas w dupie – lakonicznie odparł Antek, który odkąd koń kopnął go w głowę, lubił używać skrótów myślowych.

– Teraz każdy może jechać za granicę i pracować – starał się uspokoić sytuację listonosz.

– A po co? – w swoim stylu zdziwił się Antoś.

– Mam zapierdalać na obcych? – zdenerwował się Marczyk.

– Albo ja? – poparł go młody Kalina, który jeszcze nie wytrzeźwiał – Mam robić na kapitalistów jak te ćwoki z Mariaszek?

– Dla siebie pracują, poprzez zakup auta powiększają swój dobytek – tłumaczył cierpliwie doręczyciel – to się nazywa dobrobyt.

– Ale ropę kupują od kapitalistów!

– U nas też jest kapitalizm – oponował wciąż listonosz.

– Tak? Od kiedy? – przedrzeźniał się stary Marczyk – Nawet nie zauważyłem, a ty Kalina widziałeś jakiegoś kapitalistę?

– Tylko w telewizji – mruknął Kalina i usnął na siedząco.

Listonosz wiedział, że rozmowa o pracy z młodym Kaliną czy Marczykiem nie ma sensu, bo obaj dżentelmeni do wszelkiej pracy mieli psychiczny uraz.

Nawet myślenie wydawało im się czystym wyzyskiem kiedy to sołtys poprosił ich, żeby się zastanowili jak głupio robią dolewając do jego bimbru wina, aby nabrał większej mocy.

– Zastanowiliście się? – zapytał ich sołtys.

Stary Marczyk i młody Kalina nie odpowiedzieli, leżeli elegancko na wersalce niczym cesarze rzymscy z minami jakby ich w niebo wzięli. Sołtys wiedział, że znów jego zacier mieszały z winem.

LEGENDA

Każda miejscowość ma taką legendę na jaką zasługuje. Mieszkańcy Maślaków miało ich kilka i w tej konkurencji takie Mariaszki wypadały bardzo blado. Stary Marczyk twierdził, że nawet ta ich jedna, jedyna legenda jest mocno zafałszowana. Chodziło o błękitnego rycerza Mariasza, który podobno tysiąc lat temu założył wieś Mariaszki.

– Taki był z niego rycerz jak ze mnie biskup – opowiadał stary Marczyk – ba, Mariasz nawet nie był giermkim.

– Kim? – zapytał młody Kalina.

– To taki ówczesny pomagier, coś jak pomocnik murar-ski – wyjaśnił mu były kościelny.

– Mariasz był zwykłym włóczęgą – kontynuował z pogardą Marczyk – łąził od wsi do wsi, od miasta do miasta i najmował się do roboty. Jakies trzy tysiące lat temu zatrzymał się w naszej wsi i zbałamucił babę. Wtedy nasze przodki wzięły go za łeb i wybatożyli za wsią pod kapliczką.

– Trzy tysiące lat temu? – zdziwił się młody Kalina.

– Tak było! – poparł sołtysa były kościelny z taką mocą jakby osobiście znał Cyryla i Metodego.

Stary Marczyk groźnie popatrzył na Kalinę, bo zgubił wątek. Dopiero jak Antek podał mu wino, dokończył legendę.

– Nasi przodkowie wybatożyli Mariasza, tak że dupę i plecy miał niebieskie, stąd przydomek „błękitny” i wygnali ze wsi razem z babą co się z nim puściła.

– A oni na złość naszym przodkom osiedlili się w szałasie za lasem i tak powstały Mariaszki – postawił kropkę nad i sołtys.

– Jak baba była z Maślaków, to znaczy, że połowa Mariaszek powinna być nasza! – zauważył odkrywco Kalina.

– Po prawie tak powinno być – zgodził się stary Marczyk – ale rząd zrobił inaczej.

Pod sklepem rozległ się złowrogi pomruk. Społeczność wsi nigdy nie wybaczyła władzom odrzucenia petycji, w której żądano przyłączenia Mariaszek do Maślaków albo wymazania znienawidzonej wsi z mapy. Dlatego w Maślakach nigdy nie doszło do wyborów, bo zawsze w przeddzień ginęła urna albo komisja z powiatu nie mogła dostać się do remizy. Społeczność Maślaków była apolityczna, chociaż tego nieświadoma, co nie znaczy, że pojedynczy mieszkańcy nie mieli swoich poglądów.

Gajowy Nowejko po obejrzeniu wiadomości zawsze porównywał polityków do leśnej zwierzyny i nazywał ich odpowiednio do sytuacji: szczwany lis, dzika świnia czy kapuściany łeb. Przy ostatnim porównaniu zapewne kojarzył delikwenta z zającem.

Młody Kalina, który mocno interesował się historią, uparcie utrzymywał, że wróci komunizm i straszył byłego kościelnego, że zrobią z nim porządek i będzie dyndał na transformatorze.

Były kościelny śmiał mu się w twarz, bo na wszelki wypadek trzymał pod siennikiem starą legitymację partyjną jeszcze z czasów Bieruta.

Sołtys nigdy nie martwił się o następną kadencję, bo ten urząd w Maślakach od wieków przechodził z ojca na syna i był sprawowany dożywotnio. Można śmiało powiedzieć, że Maślaki były monarchią. Legenda mówiła, że to praprzodek sołtysa założył Maślaki, gdy po polach biegały dinozaury, a ogień był reglamentowany. Onegdaj siedząc na pniu, popijał przedni bimber i obracał na różnie pterodaktyla. Wtedy zamarzyła mu się zakąska i sięgnął po rosnące brązowe grzybki, które były nad wyraz smakowite.

To były maślaki, które ustawicznie podszczytywane przez dinozaury ulegały marynacie i od nich powstała nazwa wsi. Dinozaury przepadły, ale Maślaki się uchowały i będą istnieć do końca świata.

Tako rzecze stary Marczyk. Hej!

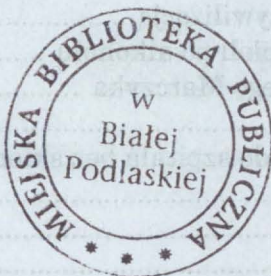
Posłowie

Drogi Czytelniku, po przeczytaniu książki nie szukaj na mapie wsi Maślaki. Wiem, że chciałbyś tam pojechać i porozmawiać z sołtysem Sroką czy młodym Kaliną o problemach tego świata.

Na pewno by się ucieszyli z twojej wizyty i przyjęli po królewsku, ale zastanów się, czy warto zakłócać im spokój? Mącić im w głowach zadając zbyt oczywiste pytania?

Tym bardziej nie pytaj nikogo o Mariaszki, bo sympatycy starego Marczyka i byłego kościelnego są wszędzie i mogą jeszcze donieść, że ktoś interesuje się tą znienawidzoną osadą.

Uwierz mi na słowo, Maślaki istnieją, może nawet kiedyś przejeżdżałeś przez nie samochodem, a Antek Pajda poma-
chał ci ręką, przypomnij sobie...



SPIS TREŚCI

Przedmowa	3
Dobry pomysł	7
Języki obce	9
Ludowa wizja kosmosu	11
Czarne to nie białe	13
Rządy czterech	15
Żelazny krzyż	17
Monopol	19
O wyższości poziomu nad pionem	21
O zawieraniu sojuszy	22
Komisja	25
O fortunie, która kołem się toczy	27
Jak prywatyzowano mleczarnię	29
Jak można się otrzeć o Nobla	32
Kontrola	34
Plantatorzy	36
Stary obyczaj	38
Ostatnie łącze z cywilizacją	40
O bezpiecznej kąpieli po alkoholu	42
Melancholia starego Marczyka	44
Solidarni	46
Jak można trafić do szpitala bez skierowania	48
Pomnik	50
Majowe rozterki	53
Armageddon	55
Prezydencki łeb	57
O nakazie rewizji i trudnej sztuce odmawiania	59
Przedwojenny zbójnik i jego drużyna	63
Miłość a'la młody Kalina	66
XXXL	68
Wielki Kuperfild	70
Jak Antek został koniem	72

Mądrości ludowe i egzorcyzmy	74
Strach na wróble	76
Komandosi z Maślaków	79
Zając January	81
Stabilizatory i standardy	83
Szwagier Kazik	86
Przepowiednia	92
Kosmiczne jaja	95
Dziki naród	99
Totalna krytyka	103
Idylla maleńka taka	105
Expres edukation	114
Co dziedziczy się po przodkach	116
Wolna Europa	118
Skróty myślowe	120
Legenda	122
Posłowie	125



Leszek Sokołowski mieszka w Krzymoszycach k/Międzyrzecza Podlaskiego, gdzie prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Zdobywca tytułów króla i księcia łgarzy z Bogatyni, laureat konkursów literackich i satyrycznych. Najbardziej ceni sobie I miejsca w dziedzinie prozy w konkursach im. J. I. Kraszewskiego oraz w „Krajobrazach Słów”.

Wydął do tej pory tomik poezji „Dumny jak paw” oraz krótkie formy satyryczne „Nawet mysz może dostać kota”.

Myśli, pisze i ogłasza wszem i wobec, że satyra to jedyne antidotum na otaczającą nas rzeczywistość.